Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V Niedziela, dnia 29 sierpnia 1937 r. Nr. ~~34~~ 35

CZEKAM...

Jak mi dzisiaj tęskno za czymś —
smutek myśli me przygniata...
Oczekuję chwil radosnych
i tak płyną dnie i lata — —

Jak mi dzisiaj tęskno za kimś —
kto rozumie ból, tęsknotę,
kto nie boi się trudności
i ją zwalczać ma ochotę.

Jak mi tęskno za dziewczyną,
roześmianą — sercu bliską,
która szłaby ze mną wiernie
drogą prostą, choć ciernistą! —

Jak mi tęskno za dziewczyną,
którą nazwę ukochaną...
którą spotkam na mej drodze
wraz z radością niespodzianą —

Jan Feliks Płóciennik.



MARIA REUTT.

3)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

Drgnęła gwałtownie, zdjęła ręce z klawisz.

— Gościńca przyniosłem ci, ozdobę na bal. Sznur pereł prawdziwych i cennych. Odebrałem je uciekinierce. Żandarmi złapali ją na samej granicy, przyprowadzono do mnie. W łachmanach była, nic prócz koszyka z jedzeniem nie miała. A jednak dojrzałem te perły. W warkocz je wplotła. Już ja jej rozplotłem włosy po swojemu. Krzyczała jak opętana. Perły wziąłem dla ciebie, a ona już drugi raz nie ucieknie!.

Pocałował ją w szyję raz, drugi, pobawił się jej włosami i usiadł w fotelu za nią.

— Zagraj mi co — rozkazał.

Więc grała mu rzewne dumki ukraińskie, sentymentalne walce, namiętne cygańskie romanse.

Wywołano go do telefonu.

Zaklął wstając, że mu przerywają taką przyjemność.

Została sama. Odpięła sznur, przesunęła palcami po perłach. W spince brylantowej z szafirami dojrzała czerwoną plamkę i kilka włosów zaplątanych w oprawę kamieni.

Perły wysunęły jej się z dłoni i z cichym stukiem upadły na podłogę.

Ciche kroki po miękkim dywanie — ktoś schylił się po perły i położył jej na kolanach.

Podniosła oczy łez pełne i napotkała szare źrenice szofera. Gniew szarpnął jej obolałymi nerwami.

Tego jeszcze trzeba, żeby ten bolszewik po raz drugi widział jej łzy...

— A wy się tu czego plątacie!? — krzyknęła ostro.

Zmieszał się.

— Ja... nic... — jąkał się. — Towarzysz komisarz mnie wezwał — przechodząc, zobaczyłem perły i podniosłem.

Uspokoiła się i wolno odwróciła się od niego. Przeszedł do gabinetu cichymi, lekkimi krokami.

* * *

Bal zapowiadał się świetnie.

Zabrano z piwnic hotelowych i restauracyjnych wszystkie napoje, jakie znaleźć można było w Mińsku, powyciągano wszystkie konserwy, wędliny, cukier, jaja i masło ze skrytek i schowków kupców i ludności cywilnej. Zarekwirowano po wsiach moc kur, gęsi i indyków. — Jak uczta, to uczta!

Przygrywać miały kapele kilku pułków.

Wszystkie żony, siostry i kochanki dygnitarzy sowieckich szyły i przystrajały toalety zależnie od gustu i materiału.

— Tylko ty, Danko nie żałuj sobie, bo strój twój musi być najpiękniejszy — upominał ją komisarz.

I rzeczywiście, gdy stanęła na ganku, schodząc do samochodu, komisarz i szofer stanęli olśnieni.



Zwycięzca w zeszłorocznym 10-boju olimpijskim Amerykanin Glenn Morris poszedł w ślady słynnego pływaka Jonny Weiss — Müllera i zaangażował się do filmu celem odegrania roli Tarzana.

Z rozchylenia futra wyjrzała aksamitna suknia barwy morelowej, spięta na biodrze klamrą brylantową ze szmaragdami, a dużą broszą szmaragdową na ramieniu. Na głęboko odsłoniętej szyi lśnił naszyjnik z brylantów. Takie same brylanty migotały w uszach i na palcach dziewczyny. Z pod pajęczej koronki na głowie przyświecał sznur pereł, tworzący opaskę nad czołem.

Z obramowania tej mieniącej się aureoli barw wychylała się blada, ściągła twarz o szlachetnym rysunku i wyniosłym wyrazie.

Komisarz aż trzępnął się po udach z zachwytu.

— Jaka śliczna! — zawołał poufale do szofera; który już opanował swój zachwyt i poprawiał coś przy kierownicy.

— Ślicznotko ty moja — pieścił jej ręce, gładził sobie nimi po twarzy, gdy siedli do wnętrza.

— Dużo ja widział młodych dziewcząt, dużo przewinęło się przez moje ręce, dużo ich pozbył się, gdy obrzydły, a były dokuczliwe, ale takiej ślicznej nie miał jeszcze dotąd. Milsze były i same się łasiły, ale ty dopiero jedna tak burzysz moją krew — szeptał jej tuż nad uchem gorącymi ustami.

A ona patrzyła na migające latarnie ciemnych, prawie nieoświetlonych, jakby wymarłych ulic, na domy, z których wyzierały czarne jak oczy ślepców okna i myślała z rozpaczą — czyby nie lepiej było wyszarpnąć się z samochodu i lec rozbitą na miazgę w błocie ulicznym, niż wystrojona jechać na bal rozbójników i morderców?

Zwalniali, mijając coraz to inne samochody, wreszcie stanęli przed podjazdem.

Z szeroko otwartych drzwi sieni buchnęło na nich ciepło, jasność i gwar, wyciągnęły się szeregi rąk, rozległy się zewsząd głosy:

— Towarzysz Andrzej Pietrow! Ot i cudownie!

— Towarzyszka Danka zawsze śliczna i urocza!

— Ach, jak wy dziś wystrojona, jaka szykowna! — wykrzykiwały inne damy, mniej lub więcej strojnie ubrane, a w głosach niektórych dźwięczała zazdrość.

Komisarz już na progu zwrócił się do szofera.

— O dwunastej przyjedziecie po towarzyszkę Dankę...

Od czasu, jak zauważył powodzenie Danki na zabawach i jej rozbawienie, nie pozwolił jej dłużej, niż do dwunastej przebywać na balach.

— Do dwunastej jeszcze jestem przytomny, a po dwunastej staję się świnią nieoskrobaną i nie pamiętam, co się koło mnie dzieje... Więc wolę, żebyś już wtedy była w domu, bo z naszymi towarzyszami cię zostawić, to jakby dzikim zwierzętom na pożarcie.

* * *

Kolacja była wspaniała. Zakąski i wódka, wino w różnych gatunkach, likiery, kawa.

Zastawa srebrna, w kryształach owoce południowe.

Nic to, że ludność puchnie z głodu, że bandy bezdomnych dzieci, głodnych, obdartych, zdziczałych włóczą się po miastach rosyjskich, szukając pożywienia po rynsztokach, rabując, podpalając, a nawet i zabijając.

Wnoszono toasty, śmiano się, zamieniano się dowcipami, flirtowano, służba uwijała się szybko i sprawnie. Zupełnie jak na uczcie dyplomatycznej w burżujskiej stolicy zachodniej Europy.

A na ulicach tłum wyrostków chudych, bladych, obdartych, drżących z zimna, przyglądał się z ciekawością i zazdrością zabawie przywódców, głoszących zniesienie stanów, zrównanie wszystkich warstw narodu.

Jadł, jak kto umiał. Jedni wytwornie manewrowali widelcami, pomagając sobie nożami, inni używali tyko noży, jeszcze inni posługiwali się palcami. — W miarę zaś jak napoi ubywało, rósł gwar i ożywienie przy stole. Wymachiwać zaczęto nie tylko w powietrzu, ale i pod nos sąsiadom, zmuszano towarzyszki do picia z jednego z nimi kieliszka. Całowano je po ramionach, szyi i piersiach, trącano pod stołem. Najbardziej rozochocił się komisarz Pietrow. Twarz mu błyszczała od potu, oczy miał zamglone, a na ustach bezmyślny uśmiech zadowolenia.

— Danko — zawołał nagle poprzez stół — ty trochę więcej rozde-

kołtuj się, żadna tu nie jest taka ładna...

Danka, siedząca obok młodego studenta, należącego do komisji wytycznej jako topograf, zaczerwieniła się gwałtownie i łzy napłynęły jej do oczu.

— Oszalał — co mu się zachciewa...

— Co wy znowu!... zgłupieli, czy co? myśmy tu na tańce przyszły, a nie nagości pokazywać! Tańczyć chcemy!

Zrobił się ruch, damy jak rozgdakane kury przeszły do sali, dogadując i wykrzykując, gdzie muzykanci nastrajali instrumenty. Za nimi pociągnęła część mężczyzn tańcząca. Druga część została przy stole, przy napojach, a między nimi i komisarz Pietrow.

Student topograf szedł obok Danki, prostując się, stawiając z gracją nogi. — Nachylony nad nią, dziwił się współczująco:

— Jak możecie wyżyć z taką świnią?

Nauczona poprzednim doświadczeniem, była ostrożną z tym obcym, nieznanym jej dotąd mężczyzną.

Wzruszyła obojętnie ramionami.

— Nie gorszy od innych...

Ten nie dawał za wygraną i szeptał jej poufale dalej:

— Ale żeby pozwolić sobie na grubiaństwo względem takiej ślicznej osoby...

— Gdy mężczyzna upije się... — odrzuciła.

— Gdyby towarzyszka była moją, nie pozwoliłbym sobie nigdy na podobny nietakt.

— Każdy z was taki sam... — odparła krótko.

Podsunął się do niej w podrygach jakiś towarzysz z czarną spiczastą bródką i odstającymi uszami:

— Bostona, towarzyszko...

— Tańczę z tym towarzyszem — wskazała na studenta.

— To proszę o następny...

— Dobrze — zgodziła się, wiedząc, że inaczej nie odczepi się od niego.

Student objął ją wpół, przytulił do siebie mocno i powiódł na salę, gdzie już kręciło się dużo par, mniej lub więcej przytulonych do siebie. Każdy bolszewik na sali dobijał się, żeby z nią zatańczyć i każdy mówił jej komplementa mniej lub więcej poufałe.

Student chodził za nią jak cień złowrogi, zasępiony, gniewny. Złapał ją wreszcie, gdy zziajana, oparta o ścianę, wachlowała się chusteczką.

— Nareszcie mam was! — zawołał ostro.

Ochłodła od razu i na twarzy jej pojawił się jej zwykły wyniosły wyraz.

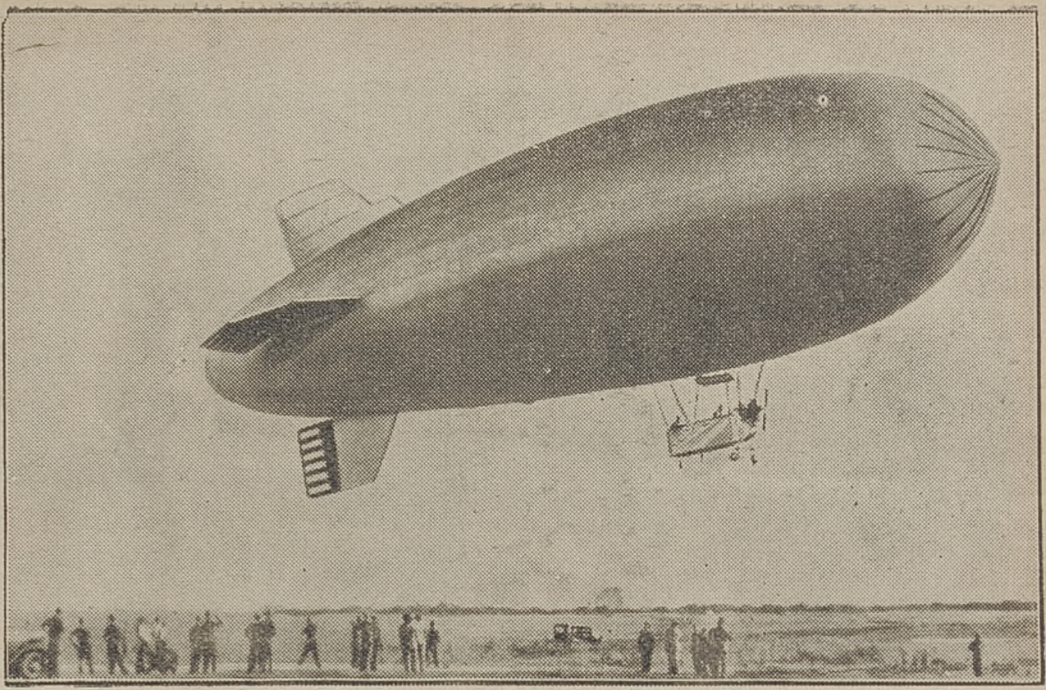
— Nie uciekałam od was, towarzyszu...

— Ale inni was mi porywali...

— I będą porywać — cóż robić.

Chwycił ją za rękę wzburzony, nie panujący nad sobą.

— Nie będą... nie dam... wy nie dla nich! Skąd się wy tu wzięliście, taka inna!



Podczas manewrów armii Stanów Zjednoczonych wypróbowano nowy model balonu obserwacyjnego, zaopatrzony w mały motor spalinowy.

Odsunęła się od niego. Wzrok jej stał się twardy, oczy pociemniały.

— Jestem kochanką komisarza Pietrowa — odpowiedziała, robiąc nacisk na „komisarza Pietrowa", jakby go chciała ostrzec, przyprowadzić do równowagi, przypomnieć mu jego nędzne, nic nieznaczące stanowisko, dać do zrozumienia potęgę komisarza.

— Bądźcie moją... — wyszeptał błagalnie, nieprzytomnie.

Roześmiała się dźwięcznie, wesoło, prawie swobodnie.

— Głupiec z was, towarzyszu, żółtodziób. Dacie mi to wszystko, co on mi dać może?

Ironia wypełzła grymasem na jej wargi, oczy miały wciąż ten sam twardy wyraz. Spojrzała na jego zgnębioną minę i wzrok jej złagodniał.

— Dzieciak z was — czy wam się równać z komisarzem Pietrowem, wam, studentowi, czy wam się z nim zmagać?... Jedno jego słowo przeciw wam, a znaleźlibyście się na drugim końcu Rosji, jeżeli nie gdzieindziej, skąd już powrotu na ziemię nie ma.

Podszedł do nich służący w kurtce ciemnej i białych rękawiczkach i z uszanowaniem zwrócił się do Danki:

— Towarzyszko, samochód na was czeka.

Odetchnęła z ulgą. Miała dosyć tej zabawy pełnej oparu alkoholu i rozpętanych zmysłów.

— Nie odchodźcie, towarzyszko — prosił ją student.

— Nie mogę Andrzej Pietrow nie pozwala zostawać mi nigdy dłużej, niż do dwunastej. Zazdrosny jest o mnie. Sam wróci nad ranem pijany jak bela i źleby ze mną było, gdyby mnie w domu nie zastał.

— Plunćie choć raz na niego — szepnął gorąco.

— Wolę plunąć na was — odrzuciła lekko — bo to bezpieczniej.

* * *

Szła ku drzwiom smukła, zręczna, mijając zgrabnie tańczące lub tulące się pod takt muzyki, pary.

Po drodze do próśb studenta, przyłączyło się kilku innych mężczyzn i głośno protestowali:

— Nie puścimy... — wołali, chwytając ją za ręce.

— Nie mogę... naprawdę nie mogę... — broniła się.

Wyrwała im się, zarzuciła futro, z którym czekał już na nią towarzysz lokaj i śmiejąc się, zbiegła po schodach.

— My was odwieziemy — biegli za nią.

Ale ona była zwinniejsza od nich. Śmiejąc się wciąż, wpadła do samochodu, zatrzaskując za sobą drzwiczki. Szofer puścił w ruch maszynę i nim dobiegli, auto już ruszyło.

* * *

Upadła na poduszki i przymknęła oczy. Zniknął z jej twarzy rozbawienie, roześmiane usta skurczyły się boleśnie. — Czyż zawsze będzie musiała być niewolnicą? Czyż nie ma dla niej ucieczki z tego piekła, z tego gniazda zwierzęcej rozpusty. Rosjanie mają co chcieli, ale ona — co ma wspólnego z tym barbarzyństwem i dziczą? Dlaczego ona musi się męczyć? Zawrzała nienawiścią do szofera.

— Gdyby nie on, nie jego wtrącenie się, byłaby może już na wolności, hen, daleko, u swoich, w Ochorowie, a możeby i matkę już tam zastała...

— Podły! Czemuż ona nie ma tu przy sobie rewolweru! Strzeliłaby mu z najzimniejszą krwią w tył głowy.

* * *

Odczuła nagle, że samochód nie podskakuje po „kocich łbach" bruku ulicznego, ale sunie jak po stole bez wstrząsów i szarpań.

Otworzyła oczy i przywołała się do przytomności.

Auto pędziło z szaloną szybkością w ciemności nocy, W szybach nie



Wskutek panującej mgły nastąpiło w kanale La Manche zderzenie statku belgijskiego „Księżna Marie José” ze statkiem angielskim „Chain McNeil”. By uchronić przed zatonięciem, ściągnięto statek belgijski z 750 pasażerami na mieliznę (nasze zdjęcie).

migały już domy i latarnie, rozpościerała się czarna przestrzeń.

— Dokąd on mnie wiezie? — zdziwiła się.

Przypomiała sobie, iż ma brylanty i perły na sobie: — Zabije mnie — przemknęło jej lękliwie przez myśl. — Zabije! ach, jak dobrze! Nie będzie musiała znosić upodlenia, hańbiących, poniżających, a tak wstrętnych dla niej pieszczot Pietrowa, nie będzie więcej patrzeć na te zezwierzęcone twarze.

Samochód zwolnił tempa, szarpnął, podrzucił. Poczuła, że zjeżdżają z szosy.

Zabije mnie na pewno....

Skupiła się w sobie. Nie żal jej było życia, które choć tak krótkie, mieściło tyle okropnych wspomnień. Samochód w dalszym ciągu podrzucał. Błoto chlupało pod kołami.

Jedziemy polem — uświadomiła sobie.

Znów szarpnięcie, poderwanie. O szyby samochodu uderzyły gałęzie. Przysunęła twarz do okna. W ciemności zamajaczyły czarne cienie drzew.

Jesteśmy więc na drodze przez las. Serce jej zabiło mocniej strachem oczekiwania.

Stanie się to tu...

Machinalnie przeżegnała się, pierwszy raz od dwóch lat, zrezygnowana, radosna nawet w nadziei wyzwolenia.

Samochód nie stanął; w poszumie drzew parł naprzód.

Nie mogła dłużej znieść naprężenia nerwów. Musi go zapytać. Uniosła się na siedzeniu. W tej samej chwili zgasły reflektory. Szofer zwiększył szybkość.

Opadła na poduszki. Niech się z nią dzieje co chce, byleby potem nastąpiło zatracenie i śmierć...

Nagle znów zajaśniały reflektory, samochód zwolnił biegu. Porwała się z siedzenia i zastukała w szybę, pełna niepewnych lękliwych przeczuć.

— Dokąd mnie wieziecie, towarzyszu.

— W Polsce jesteśmy — dobiegł ją głos szofera, mówiący po polsku.

Opadła w tył zemdlona.

* * *

Gdy się ocknęła, leżała na kanapce w ciemnościach. Z pewnej odległości dochodził ją głos męski, tak jej znany.

— Zostawiam ją pod pani opieką. Nie mogę zająć się nią sam, a ona potrzebuje pomocy, rady i dobrego obchodzenia się.

Słowom tym towarzyszył odgłos jakby pocałunku w rękę. Potem nastała cisza.

Za chwilę zahuczał samochód, zawarczał — i znów nastała cisza.

Leżała nie poruszając się, bojąc się, że to sen zwodniczy. Nie mogła wierzyć, że była już w Polsce, że daleko po za nią został komisarz Pietrow i bolszewicy.

* * *

Usnęła. Śniły jej się kwiaty, łąka, procesja, która na skrzydłach uniosła ją w górę.

Obudziła się późno.

TAJEMNICA WYBAWCY.

Już blade, jesienne słońce zaglądało do okna, gdy otworzyła senne powieki i powiodła oczami po pokoju. Ktoś tu był, bo okryta była derką, na którą zarzucono jej własne futro. Pokój był ubogi i prawie pusty. Piec, parę krzeseł, skrzynia drewniana i kanapa, na której leżała — stanowiły całe umeblowanie pokoju.

Ktoś delikatnie uchylił drzwi.

Podniosła się.

— Pani już nie śpi? — odzywa się miły, łagodny głos. — Nie chciałam budzić pani i zostawiłam na noc w tym pokoju, dokąd zemdloną zanieśliśmy z tym panem...

* * *

Przed nią stała staruszka o łagodnej, zmęczonej twarzy.

— Gdzie jestem? — spytała.

— U mnie, dziecko, w Borowej, sześćdziesiąt kilometrów od frontu. Przywiózł cię tutaj jakiś pan. Mówił, że wywiózł cię z bolszewii. — nazwiska jego nie pamiętam, lecz twarz jego była mi znajoma. Podobno kwaterował kiedyś u mnie. Prosił, bym się tobą zajęła i przyszła ci z pomocą.

W głowie Danki panował chaos: nie dopuścił, by uciekła z tamtym bolszewikiem, a sam ją przewiózł przez granicę...

W tej chwili ręka jej sięgnęła machinalnie do klejnotów, które miała na sobie w samochodzie: są!...

I nie okradł, nie obrabował — prosił, by się nią zajęli i odjechał bez słowa wyjaśnienia...

Wstała.

Groteskowo śmieszną i nieprzyzwoitą wydała się sama sobie w sukni balowej i w tych klejnotach na tle mizernie wyglądającego pokoiku, w świetle dziennym.

W co się przebiorę? — pomyślała z troską.

Staruszka jakby czytała jej myśli.

— Ten pan zostawił dla pani zawiniątko — leży ot tu, na krześle...

Rozwiązała nerwowo paczkę, niedbale zawiniętą w gazetę.

Z pod drżących podnieceniem palców wypadła suknia jej codzienna, granatowa z futerkiem, półbuciki, kilka sztuk bielizny, szal i z brzękiem potoczyła się garść rubli srebrnych, wetkniętych widać również w pośpiechu.

— O wszystkim pamiętał — nawet grzebień wsunięty był w bucik. Dobry... taki dobry, a ona go tak niecierpiała....

Rozpłakała się.

— Wypłacz się dziecko, to ci ulgę sprawi, a ja tymczasem przyniosę ciepłego mleka...

* * *

Dom, do którego zawiózł ją tajemniczy szofer, okazał się dworkiem należącym do pani Borowieckiej.

Bolszewicy, a raczej miejscowi chłopi, spustoszyli go zupełnie. Zabrali zapasy, meble, pościel, bydło, narzędzia, trzodę — korzystając, że staruszka bawiła u syna w Warszawie. Gdy nawała bolszewicka przesunęła się na wschód i ona mogła wrócić do siebie, zastała tylko puste, odrapane ściany, drzwi bez klamek, okna bez szyb.

Przy pomocy miejscowego popa ściągnęła ze wsi trochę gratów, kilka poduszek, odkupiła parę krów i znów zakrzątnęła się koło naprawy zburzonego gniazda.

Syn jej, żonaty, mieszkał z rodziną w Warszawie, gdzie miał dobrze płatną posadę w fabryce wyrobów metalowych.

* * *

W Borowej przebywała tydzień. Pani Borowiecka zajęła się nią jak córką, lecz sama radziła, by jechała do Warszawy. Napisała do synowej, prosząc, by narazie przyjęli ją do siebie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

45)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Proszę pana — odpowiedział stary góral — ja tu znam wszystkich ludzi na 100 mil wokoło, ale takiej kobiety nie znam. Nasi ludzie nie siedzą długo w mieście, bo tęsknią za górami. Niech pan patrzy na mnie, kochany panie, ja byłem w Algierze w legionach i nie mogłem wytrzymać z tęsknoty za moimi górami. Zdezerterowałem, chociaż wiedziałem dobrze, jaka za to straszna kara.

— Jak długo pan znowu jesteś w kraju? — zapytał markiz słabym głosem.

— Na Wielkanoc będzie 10 lat — odpowiedział dezerter.

— I przez cały czas mieszka pan tu i zna pan dobrze wszystkich?

— Tak jest. W tej chatce nie mieszkałem zawsze — odpowiedział stary Jan — ale ludzi z tej okolicy znam bardzo dobrze. Tutaj nie ma kobiety, któraby wytrzymała w Wiedniu przez 20 lat, ale teraz musi pan spać. Jak pan prześpi kilka godzin, to pomówimy o tym. Wszystko panu opowiem później, ale teraz ani słowa więcej.

Jakkolwiek markiz tym, co usłyszał, bardzo był rozdrażniony, to jednak był tak bardzo zmęczony, że nie mógł wymówić słowa.

Powieki zamknęły mu się i zapadł w głęboki, pokrzepiający sen.

Widząc, że markiz de Lorme zasnął, rzekł Jan do Ignacego:

— Ignacy, bądź tak grzeczny i pilnuj tu w chacie ognia. Ja idę jeszcze po drzewo, bo musimy palić przez całą noc, a to, co mamy, nie wystarczy nam. Czy zostaniesz?

— Zostanę — odpowiedział spokojnie Ignacy — możesz iść.

— A pilnuj ognia — napominał go Jan nim odszedł.

Markiz spał spokojnie. Ignacy zabawiał się w ten sposób, że złożył ubranie markiza, lecz skonstatował, że jest mokre, więc zdjął je i powiesił przy ogniu, aby wyschło.

Następnie bawił się przez pewien czas jak dziecko złotym zegarkiem śpiącego markiza i położył go wreszcie na stole.

Po tym portmonetkę markiza poddał gruntownej rewizji i wyjął znajdujące się tam złote monety. Ułożył je w kształcie gwiazdy. Niektóre z nich, które już zczerniały, czyścił rękawem aż do połysku.

— Tak, teraz one są znowu więcej warte — śmiał się — on się będzie cieszyć, że ja mu tak ładnie je wyczyściłem. Teraz trzeba je znowu włożyć, gdzie należy, bo stary Jan, jak przyjdzie i zobaczy, będzie się gniewał.

Troskliwie zebrał monety ze stołu i włożył je z powrotem do portmonetki.

Po tym usiadł przy łożu markiza, przypatrywał mu się przez pewien czas i wreszcie zaśpiewał indyjską pieśń usypiającą.

Tak zastał go przy łożu markiza Jan i pochwalił cieplo.

Zabrali się raźno do sporządzenia kolacji. Robili to wszakże cicho, aby nie zbudzić chorego.

Potem Ignacy położył się spać, ale bez koca, gdyż kocem przykryty był markiz. Nie spał długo, jak wszyscy obłąkańcy i wnet zbudził się, zapytując, czy to już dzień.



„Warszawska cytadela" — to tytuł nowego filmu, wyprodukowanego w Niemczech. Film odtwarza fragmenty walk z caratem, toczone przez rewolucjonistów polskich w pierwszych latach b. wieku. Rolę główną gra w filmie tym Maria Lazarina.

— Nie, noc — odpowiedział Jan — dlaczego nie śpisz?

— Nie mogę — skarżył się obłąkaniec — coś siedzi mi w głowie i nie daje spokoju. Tak, jakbym koło młyńskie miał w głowie. Jakby mi ktoś wyjął to z głowy, byłbym znowu zupełnie zdrów. Tybyś nie mógł Janie naprawić mi tego?

— Nie, kochanku — odpowiedział Jan — tylko Pan Bóg może ci pomóc.

Ignacy usiadł sobie obok przyjaciela i w urywanych słowach skarżył się na swą niedolę.

Jan pocieszał go dobrotliwie.

— Tak, ty jesteś dobry — rzekł Ignacy z wdzięcznością — a jednak musisz się chować przed ludźmi, jak jaki zbrodniarz.

— Cicho — przestrzegał Jan — zbudzisz go, jak będziesz głośno mówić.

Dorzucił drzewa do ognia i wpatrywał się ponuro w płomień.

Potem siadł znowu obok Ignacego, który nieśmiało głaskał go po ramieniu.

Tak siedzieli aż do rana.

— Nie idziesz dzisiaj strzelać? — zapytał Ignacy — mało już mięsa w domu.

— Wystarczy jeszcze dla ciebie i dla gościa — odpowiedział.

Sporządził mocną kawę i gdy markiz się obudził, dał mu się napić.

— Jakże panu? — zapytał po francusku.

— Dziękuję wam, przyjacielu — odpowiedział markiz — nic mnie nie boli, tylko czuję się bardzo osłabiony.

— Może pan poruszać członkami? — zapytał Jan z obawą.

— Tak jest — odpowiedział markiz de Lorme. — Opowiedzcie, proszę, jakim sposobem udało się wam mnie uratować?

Jan opowiedział mu jak to się stało, a potem zapytał, skąd i jak się tam właściwie znalazł.

Markiz odpowiedział:

— Uratowaliście mi życie, więc nie będę przed wami ukrywał prawdziwej przyczyny. W Wiedniu zakochałem się w jednej panience, która uciekła z domu przybranych rodziców i miała się schronić podobno tu gdzieś w tej okolicy u niańki, która u nich służyła przez 20 lat. Przywiózł mnie tutaj aż do wsi Marii Śnieżnej syn jej przybranych rodziców. Potem szliśmy dalej. Pod krzyżem opuściły mnie siły i upadłem.

— Jakto, i on pana tak pozostawił bez pomocy? — zdziwił się Jan.

Wtem wszedł do chaty Ignacy.

Trzymał w ręce małą flaszkę z koniakiem i zataczał się.

— Jaśku — wołał — to ci jakaś pyszna wódka. Zrobiłem tylko jeden łyk, a jestem taki zmęczony i śpiący, że ledwo się trzymam na nogach!

— A skąd masz tę flaszkę? — zapytał go Jan.

— Znalazłem pod sosną — odpowiedział sennym głosem Ignacy, a gdy Jan wziął mu z ręki flaszkę, zsunął się na siano i zasnął.

— To moja flaszka, zgubiłem ją widocznie pod krzyżem — rzekł markiz.

— A kto ją panu dał? — spytał Jan.

— Ten pan, który był ze mną!

Jan odkorkował flaszkę i pociągnął z niej trochę koniaku.

— Panie — rzekł — ja daję głowę za to, że w tym koniaku jest jakiś napój usypiający. Ja jestem przyzwyczajony już do picia i mogę znieść bardzo dużo, a tu zrobiłem jeden łyk i już mnie rozbiera. Czy ten pan pił także z tej flaszki.

— Nie — odpowiedział markiz.

Jan wstał i poszedł do kadzi, w której była zimna woda i umoczył w niej głowę.

— Tak, teraz jestem znowu trzeźwy, ale wie pan co? — zapytał — ten pan co z panem szedł, chciał pana wyprawić na drugi świat. Niech go Pan za to ukarze.

— Ale jaki miał powód, żeby mnie chciał uśmiercić? — zapytał markiz.

— Tego ja nie wiem — odpowiedział Jan — ale faktem jest, skoro nawet nie wysłał ludzi, żeby pana ratowali. Pójdę do Gedalowej i dowiem się o niego.

— A zapytajcie się tam o starą Martę — prosił markiz.

— Spytam się — rzekł góral — chociaż wiem, że to daremne, bo takiej nie ma.

Wdział na siebie odświętne szaty i poszedł do wsi.

W karczmie kazał sobie dać wódki i popijając rzekł:

— Dużom świata zjeździł, ale tak dobrej wódki jak pani Gedalowa robi, tom jeszcze nie pił!

Wprawiwszy tym pochlebstwem panią Gedalową w dobry humor, pytał dalej:

— Chciałem się zapytać, co słychać? Ale cóż u nas może być słychać w zimie? Goście nie przyjeżdżają, jest więc cicho i pusto.

Naturalnie, że pani Gedalowa nie omieszkała opowiedzieć mu, co się stało.

— A kto im kazał łazić tutaj o tej porze? — mruczał Jan.

— Tak, jest, potakiwała pani Gedalowa, a tego drugiego, to nawet znaleźć nie można. Wczoraj go szukali i nie znaleźli, dziś wybrali się do dnia i jeszcze nie wrócili. Nawet jak go znajdą to nic już po nim. Świeć Panie nad jego duszą.

— Amen! — rzekł Jan uroczyście i zaraz dodał:

Czy tu jest w naszej okolicy jaka osoba która 20 lat służyła we Wiedniu?



Katarzyna Hepburn (po lewej) opowiada swej sławnej koleżance Ginger Rogers o ostatnich nowościach zaszłych w Holywood, równocześnie pilnie szydełkując.

— Tu, w naszej okolicy? — zdziwiła się pani Gedalowa — nie, takiej tutaj nie ma. A skąd wam takie pytanie przyszło?

— W ubiegłym tygodniu byłem w mieście, i tam jakiś kupiec dziurę mi wygadał w brzuchu, skąd ja jestem i że tutaj u nas ma być jakaś stara Marta, która 20 lat służyła we Wiedniu i naskładała sobie dużo pieniędzy.

— Pewnie ją chce oszukać — oburzyła się pani Gedalowa — jakże mnie to cieszy, że ta Marta nie jest w naszej okolicy.

Jan wypił wódkę, pożegnał się i poszedł.

— Janie! — zawołała za nim Gedalowa — gdybyście znaleźli tamtego trupa, to przynieście. Wyznaczona jest nagroda za to.

— Dobrze, jak go znajdę to przyniosę — odpowiedział Jan.

Wróciwszy do swego szałasu, z triumfem opowiedział markizowi, że — jak przypuszczał — żadnej Marty w okolicy tu nie ma.

— A ten zbój — dodał — znalazł już sprawiedliwą karę za swoje łotrostwo. Spadł w przepaść, złamał nogę i omal sam życiem nie przypłacił swoich nikczemnych zamiarów.

— Ale dlaczegożby on chciał mnie zabić? Dlaczego mnie nienawidzi? — dziwił się markiz.

— Może on się także kocha w tej pannie. Może ona pana chętniej widzi niż jego — przypuszczał Jan — Nie mówiłem w karczmie nic o tym, że znalazłem pana. Niech pan jej raczej szuka bez niego!

— Musiałbym mieć kogoś — odpowiedział markiz — który umie po niemiecku i po francusku. Czy wy, panie Janie, poszlibyście ze mną?

— Co? Pan by mnie chciał wziąć ze sobą? — zapytał Jan — niech pan wprzód posłucha historii mego życia, zanim pan powtórzy to wspaniałomyślne żądanie!

ROZDZIAŁ CLXXIV.

Historia nieszczęśliwego człowieka

— Ojciec mój był zamożny, ale dziedzictwo jego miało spaść na najstarszego brata, jak to u nas zawsze jest w zwyczaju; ja zaś miałem dostać bardzo mało. Wiedziałem o tem od maleńkości, ale nie martwiłem się tym absolutnie. Byłem młody, zdrów, zadowolony i szczęśliwy. Bawiłem się zawsze świetnie, aż pewnego razu zobaczyłem cudną dziewczynę, Gertrudę, która mnie oczarowała. Już mnie wtedy nikt nic nie obchodził. Nie patrzyłem już na żadną inną, wciąż myślałem tylko o tej jednej.

Pozbierałem wszystkie moje oszczędności, których było zresztą niewiele i kupiłem dla niej czerwoną jedwabną chustkę. Byłem dość odważny, w tym jednak wypadku namyślałem się przez cały tydzień, jak jej to oddać. Wreszcie w niedzielę zebrałem się na odwagę i poszedłem do wsi, w której mieszkała. Przechodziłem kilka razy pod jej domem, aż wreszcie ona wyszła i nie patrząc na mnie szła dalej. Pozdrowiłem ją i zatrzymałem.

— A co ty robisz w naszej wsi? — zapytała.

— Mam ci coś oddać — odpowiedziałem, dając jej chustkę.

Ach, jaka ładna! — zawołała zachwycona — kto mi to posyła?

To ode mnie — odpowiedziałem nieśmiało.

Od tej pory byłem u niej częstym gościem, a w jesieni oświadczyłem się jej rodzicom.

— Nie miałbym nic przeciwko tobie — rzekł mi jej ojciec — gdybyś był najstarszym synem swego ojca i po nim mógł wziąć majątek, ale tak to nic z tego, szkoda tylko twoich butów, bo na próżno chodzisz!

Wówczas znienawidziłem brata i taki byłem zrozpaczony, że Gertruda musiała mnie pocieszać.

Widząc, że była taka rezolutna, i że tak ze mną trzyma, rzekłem:

— Gertrudo, może w innym kraju jakim znajdę szczęście, zrobię majątek i wrócę do ciebie.

Ona utwierdziła mnie w tym zamiarze. Tak, tak, jedź! — zawołała — a kiedy wrócisz jako bogaty człowiek, zrobimy wesele i zaprosimy całą wieś.

Poszedłem więc do ojca po pozwolenie i pieniądze na podróż. Ale ojciec rozgniewał się, że ja się chcę zmarnować, tak jak syn marnotrawny w piśmie świętym i powiedział, że on nigdy na to nie pozwoli. Że zawsze w naszej rodzinie bywało tak, że najstarszy syn brał wszystko, a młodsi służyli u niego za parobków.

Gdyby ojciec był mi mówił po dobremu, byłbym się może dał przekonać, ale że ojciec złościł się i krzyczał, wzbudziło to jeszcze większy upór we mnie i sprzeciwiałem się. Ojciec uniósł się tak, że mnie uderzył; ja zaś przyjąłem to w milczeniu, w nocy jednak uciekłem z domu rodzicielskiego.

Od matki miałem 30 złotych i myślałem, że jestem bardzo bogaty. A tymczasem zajechałem za to ledwie do Bremen. Nie starczyło mi już nawet na bilet okrętowy. W gospodzie w Bremen, przyczepił się do mnie jakiś człowiek, który mnie przez pewien czas poił a potem namawiał, żebym wstąpił do legionów w Algierze, przedstawiając mi życie tam w różowych barwach. Dałem się namówić i nazajutrz ze stoma towarzyszami niedoli wyjeżdżałem do Algieru.

Nie będę panu opisywał co tam wycierpiałem, bo pan jako Francuz najlepiej wie, jak jest legionom w Algierze. Trzy lata męczyłem się, aż nareszcie i mnie złapała febra. Kilka miesięcy byłem chory, zniszczony do szpiku kości stałem nad grobem. Kiedy wreszcie po długich cierpieniach wyzdrowiałem, byłem niezdolny do dalszej służby i dostałem dymisję. Wróciłem do domu zniszczony, żółty, wychudły i drżący. Wstydziłem się wchodzić do wsi w biały dzień. Za wsią czekałem wieczoru i wtedy dopiero poszedłem do domu rodziców. Matki już nie zastałem. Umarła. Ojciec odstąpił dworek bratu najstarszemu, a on... ożeniony był z Gertrudą!

Zobaczywszy to, podniosłem rękę ku niebu i przekląłem rodzonego brata i niewierną kochankę. Potem obróciłem się i jak szalony popędziłem wprost przed siebie.

Tej samej nocy, proszę pana, dworek mojego brata się spalił.

Wszystko świadczyło przeciwko mnie, dostałem się do więzienia śledczego i Bóg wie co byłoby się stało, gdyby nie to, że prawdziwy podpalacz, jeden z napędzonych jego parobków, po pijanemu się zdradził.

Wyszedłszy z więzienia znienawidziłem ludzi tak, że nie chciałem wracać do nich. Poszedłem do lasu i zostałem kłusownikiem!

Kilkakrotnie za kłusownictwo siedziałem w więzieniu. Jestem policyjnie notowany. Niedawno spotkałem Ignacego, tego obłąkanego chłopca; miał wór napełniony środkami żywności i opowiadał, że uciekł od swoich, bo się z nim źle obchodzili. Wziąłem go do siebie, bo przyjemnie mi jest mieć koło siebie człowieka, który mną nie pogardza.

Taka jest moja historia. Jeżeli się pan nie obawia wziąć z sobą człowieka, który był w kryminale, to pójdę z panem i będę mu wiernie służył. Zdrowie odzyskałem w górach, tylko to panu powiadam, że jeżeli mnie żandarmi schwycą, to mnie przymkną.

— Mimo to jestem gotów spróbować — odpowiedział de Lorme.

Jan dziękował mu ze wzruszeniem i wdzięcznością. Nie wiedział tylko, co ma zrobić z Ignacym.

Markiz przyrzekł, że zapłaci za niego u jakichś dobrych ludzi, żeby go wzięli na wikt i stancję.

Kiedy Ignacemu Jan przetłumaczył o czym była mowa, prosił usilnie markiza, aby jemu lepiej dał te pieniądze, które mu przeznaczył, zamiast płacić za niego.

Żebrzący ruch ręką i błagalny wzrok Ignacego był tak wymowny, że markiz zrozumiał o co chodzi. Kazał sobie podać portmonetkę i dał mu 12 złotówek.

Ignacy nie posiadał się z radości.

— Teraz pojadę do Königswalden — rzekł — i kupię sobie grunt i będę wielkim panem. Bywajcie zdrowi, ja się muszę śpieszyć, żeby pieniądze nie zaśniedziały.

Markiz niepokoił się, że Ignacy będzie miał jeszcze nieprzyjemność, jak się ludzie dowiedzą, że on ma tyle pieniędzy. Nagle zamyślił się.

Może to palec Boży, żebym się także udał do Königswalden i tam pomyślnych zasięgnął wiadomości o Desiree-Saint-Cir.

Siedział zamyślony, a Jan czyścił mu ubranie. Pomógł mu się ubrać i przeprowadził go kilka razy po pokoju.

— Nazajutrz może będziemy mogli wyruszyć — rzekł — wyłożę panu sanki sianem i kocem i zawiozę pana do miasteczka. Będziemy musieli tylko okrążyć wieś Marii Śnieżnej, żeby się ten łotrzyk nie dowiedział, że pan jest uratowany.

Markiz sprzeciwił się temu, żeby go staruszek sam ciągnął na sankach, ale on śmiał się, mówiąc, że to mu przyjdzie bardzo łatwo, a że markiz sam o swoich siłach nie mógłby przebyć tak długiej drogi.

ROZDZIAŁ CLXXV.

Dawno już nie zajmowaliśmy się naszymi przyjaciółmi w Königswalden i prosimy lube czytelniczki, aby wraz nami do nich znów zaglądnęły.

Punktualnie o szóstej godzinie wieczorem w dniu oznaczonym, stawiła się Ilona na zamku barona Sturmfedera, który dał służbie nakaz, aby Cygankę natychmiast po jej przybyciu do niego wpuścili.

Przywitał on Ilonę serdecznym uściśnięciem i nie mógł sobie odmówić przyjemności pocałowania świeżych jej usteczek.

Piękna Cyganka wywinęła się zręcznie z jego objęć i rzekła:

— Niech mnie pan baron puści, to nie należy do interesu.

Teraz dopiero spostrzegł, że Ilona była ubrana czarno i zapytał:

— Po kim nosisz żałobę?

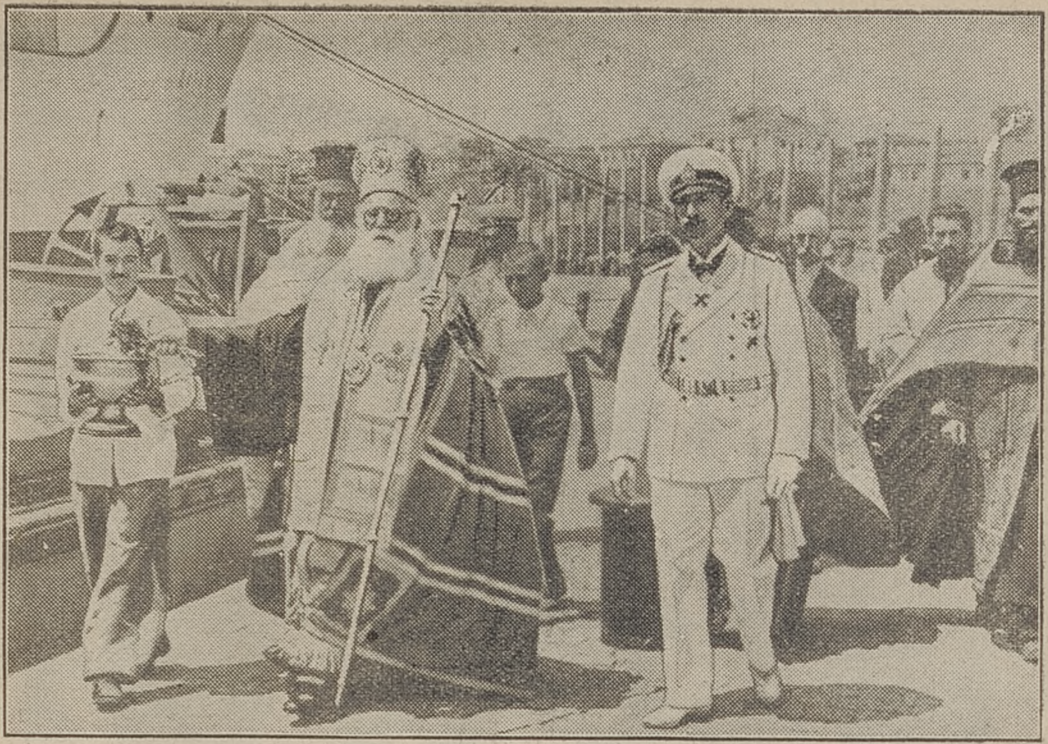
— Po nikim — odpowiedziała młoda dziewczyna śmiejąc się. — Ubrałam się umyślnie na czarno, aby nie wpadać w oko.

— Jesteś sprytna niewiasta — chwalił ja, za to baron — ale słuchaj. Wszystko dobrze się składa. Ten handlarz drzewa z Wiednia zapłacił już ową sumę Herbertowi, a leśniczy schował banknoty w mojej obecności do dużego skórzanego portfelu. Na moje zapytanie, gdzie schowa te pieniądze, rzekł, że do biurka swego, gdyż ma ono dobre i silne zamki. Biurko to stoi w jednym z pokoi parterowych. Masz więc tylko z niego wyjąć pieniądze i zapalić dom.

— To rzeczywiście mała tylko bagatela drwiła sobie Ilona — niech pan baron jutro przyjdzie do mnie po pieniądze.

— Przyniesiesz je sama do mnie — rozkazał baron Egon.

— Ani mi się śni — śmiała się Cyganka — pan baron dobrawdy już za



Przy współudziale króla Borysa odbyła się w tych dniach uroczystość poświęcenia na wybrzeżu morza Czarnego 3-go portu Bułgarii.

dużo ode mnie żąda. Jak pan chce mieć pieniądze, to proszę się do mnie z łaski swojej samemu pofatygować. Nie mam zresztą tak wiele czasu do gadania. Do widzenia, panie baronie, jutro na zamku Felseg.

To rzekłszy, odeszła.

W parku wyjęła spod gałęzi sosnowych duży kosz, który tu ukryła, wzięła go na plecy i poszła w kierunku leśniczówki.

Jeden z psów wyskoczył naprzeciw niej z bardzo głośnym szczekaniem, ale umilkł natychmiast, gdy mu przebiegła Cyganka rzuciła duży kawał mięsa.

Ostrożnie skradała się Cyganka i chowała się za dużą lipę, gdzie czekała stosownej chwili, stojąc bez najmniejszego poruszenia.

Gdy po pewnym czasie i Pluto przyskoczył do niej z głośnym szczekaniem, rzuciła mu Ilona kawał mięsa i patrzyła z zadowoleniem, jak się tym przysmakiem delektuje.

Pies zjadłszy mięso, podbiegł do niej znów w dużych susach.

— Skacz, jak długo jeszcze możesz syknęła piękna Cyganka przez zaciśnięte zęby — niedługo już twego życia, za pół godziny najdalej wyciągniesz się i zastygniesz.

Po upływie pół godziny wyszła ze swej kryjówki i zaczęła się pomaleńku skradać do leśniczówki.

Ostrożnie i cichutko otworzyła bramę i mimo ciemności trafiła od razu na strych, tak świetnie się tu orientowała i tak z każdym, najmniejszym kącikiem była obeznaną.

Przybywszy na strych siadła na swój kosz i czekała dopóki się na dole wszyscy do snu nie ułożą. Wiedziała, że przed dziesiątą godziną to nie nastąpi i że ma dość jeszcze czasu do snucia swych czarnych, haniebnych planów.

Gdy stary zegar zamkowy wydzwonił dziesiątą godzinę, usłyszała Ilona rącze kroki wchodzące po schodach na górę. Ktoś otworzył ostrożnie drzwi, a świeży głosik niewieści zawołał:

— Czy śpisz, Katarzyno?

Ilona zdjęła obuwie z nóg i wysunąwszy się ostrożnie ze swego schowku, podsłuchiwała rozmowę, wstrzymując oddech w piersiach, aby się obecnością swoją nie zdradzić.

Usłyszała jak ostry, cieńki głos starej już widocznie kobiety odpowiedział:

— Nie śpię, przez cały dzień nie zmrużyłam oka i ubiegłej nocy także nie spałam nawet przez kilka minut.

— Ale spałaś i chrapałaś nawet — zaśmiała się młoda dziewczyna.

— To ci się chyba śniło, — zapewniała ją Katarzyna.

— Chciałam się zapytać, czy ci czego nie potrzeba? — rzekła dziewczyna.

— Aha! Chcesz się znowu gdzieś wykraść? — łajała ją Katarzyna.

— Chcę tylko na kwadrans pobiec do wsi, do mojej matki — odparła dziewczyna — moja mama także jest chora Katarzyno i ja umyślnie nie zjadłam dziś swoje mięso aby jej je zanieść.

— Jeśli to tylko nie jest kłamstwem — ofuknęła ją Katarzyna. — Jeżeli jesteś taka miłosierna dla chorych, to dlaczego o mnie tak mało dbasz? Ja jestem bardzo chora.

— Częściej bym tu do ciebie przyszła — odpowiedziała dziewczyna — ale ty jesteś ze wszystkiego niezadowolona i gderasz zawsze, że panna Sylwia lepiej by to ode mnie zrobiła.

— Głupia gęś z ciebie. Przecież się nie możesz porównywać z panną Sylwią? — rzekła stara oburzona — tego już za wiele!

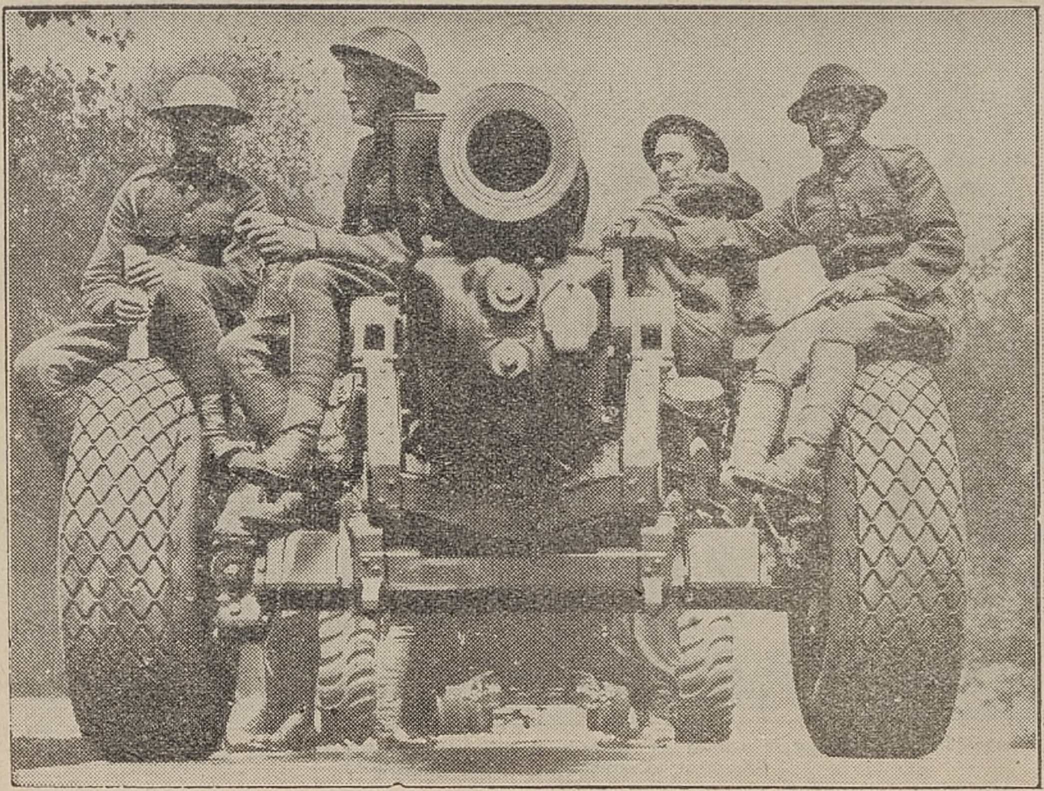
— Nie, tak nie myślę. — zawołała dziewczyna z płaczem — podać ci może jeszcze filiżankę herbaty?

— Nie — odpowiedziała jej szorstkim głosem Katarzyna.

— Więc teraz pójdę — rzekła dziewczyna.

— Leć na złamanie karku — mruknęła stara — pewnie cię już nogi świerzbią, bo w karczmie muzyka, a tobie się zdaje, że się tam bez ciebie nie obejdzie. Jak myślisz, że w ten sposób męża dostaniesz to grubo się mylisz. Rozumny człowiek bierze pracowitą dziewkę za żonę, a nie takiego lekkoducha.

— Ale ja nie idę do karczmy — broniła się dziewucha i rzuciła starej nieśmiało dobranoc, wybiegła z izby, że Ilona ledwo zdążyła odskoczyć i skryć się w cieniu.



„Dolce farniente" artylerzystów angielskich na groźnej armacie.

W kilka minut później usłyszała Ilona ostrożnie otwierające i zamykające się drzwi.

— Zdaje mi się że mogłabym już zacząć — pomyślała i zaświeciła blaszaną latarkę. Z kosza wyciągnęła flaszkę nafty i oblała nią deski i belki strychu. Potem ułożyła rzędem siarkę i hubkę.

Nadeszła godzina 10-ta.

— Hubert — zawołał silny głos męki — zamknij bramę, bo już czas iść spać.

— Dobrze, panie leśniczy — odpowiedział Hubert — chciałem się jeszcze zapytać, czy nie mógłbym z gajowym drugim pójść także na godzinkę do karczmy, żeby trochę potańczyć? — Nie jestem jeszcze nic a nic śpiący.

— Dobrze, idźcie sobie — odpowiedział leśniczy dobrotliwie — a jak wrócicie, to zapukajcie do okna, to wam otworzę.

Obaj pomocnicy leśniczego podziękowali i odeszli, a leśniczy zamknął za nimi bramę i wszedł do swojej sypialni, nie przeczuwając nic złego.

Ilona ostrożnie przeczekała, aby leśniczym dać czas do mocnego zaśnięcia. Potem opuściła swoją kryjówkę i wsunęła się cicho do pracowni leśniczego. Buty swoje włożyła do kosza, który założyła na ramiona.

Gdy weszła do kancelarii, wyciągnęła z kieszeni pęk wytrychów i otworzywszy sekretarzyk, zaczęła przeszukiwać szufladę za szufladą. Ale mimo, że jak najstaranniej wszystko przewertowała, portfelu z pieniędzmi nie znalazła.

— Przekleństwo — wycedziła zbrodniarka przez zaciśnięte usta — on pewnie te pieniądze na noc bierze pod poduszkę.

Skręciwszy światło w latarce, wśliznęła się cichuteńko do sypialni. Tam okiennice były zamknięte i z powodu tego panowała ogromna ciemność. Aby się choć trochę móc zorientować, musiała Cyganka podciągnąć latarkę.

Przy bladym świetle tejże zobaczyła sędziwą głowę leśniczego, spoczywającą spokojnie na śnieżnobiałej poduszce.

W następnej chwili była już przy jego łóżku i wsunęła opaloną swą rękę z nadzwyczajną zręcznością pod poduszkę.

Mimo lekkiego i nader ostrożnego jej ruchu jednak obudził się leśniczy Hubert i usiadłszy na łóżku, zaświecił świecę.

Zręcznym ruchem schowała się Ilona za łóżko leśniczego i przykucnęła tak, że on jej nie zobaczył. Popatrzył pod poduszkę, a gdy portfel z pieniędzmi namacał, uspokoił się i zgasiwszy świecę, obrócił się na drugą stronę.

Skulona za łóżkiem Cyganka wytrwała tak w swym schowku, dopóki regularny i głęboki oddech leśniczego nie zapewnił jej, że on znów zapadł w jak najgłępszy sen.

Wtedy dopiero wysunęła się i ze zdwojoną ostrożnością wyjęła spod poduszki portfel i schowała go za gorset.

Na palcach wyszła znów z sypialni, wdrapała się na strych i zapaliła rozlaną tam naftę. Gdy się przekonała, że wszystko się zajęło, pobiegła do kuchni zapaliła znajdujący się tam zapas chrustu, powrzucała tam jeszcze wszystkie drewniane sprzęty kuchenne i jak strzała wybiegła do pokoju pomocników leśniczego. Naftą, znajdującą się w lampie oblała ich łóżka i podpaliła je. Niezadowolona jeszcze z tego, wleciała i do pokoju Sylwii i tam dopiero ukończyła haniebne swe dzieło zniszczenia.

Diabelskie jej plany były wykonane.

Z dzikim okrzykiem radości, który się z jej ust wydarł, wybiegła jak szalejąca menada z domu, do którego wniosła pożogę i nieszczęście.

Wkrótce zaczęły się wydobywać z dachu ogniste snopy. Unoszące się iskry padły na słomiane dachy stajen i stodół przepełnionych zbożem i rozszerzały pożar z przerażającą szybkością.

Bydło zaczęło wyć, krowy zrywały się z łańcucha, owce beczały, konie rżały głośno.

Wkrótce i we wsi spostrzeżono ogień i zaczęło bić w dzwony na pomoc.

Najpierw zleciała się tańcząca młodzież z pobliskiej gospody.

Gdy obaj pomocnicy leśniczego zobaczyli, że Herbertowie widocznie jeszcze śpią, wpadli z podziwienia godną odwagą do płonącego domu i po dobrej chwili dopiero ukazali się znów, a każdy z nich uginał się pod ciężarem ciężkiego ciała.

Hubert dźwigał leśniczego, który zupełnie był nieprzytomny, a kolega jego wyniósł z palącego się domu również bezprzytomną panią Magdalenę.

Po krótkim czasie oboje przyszli do siebie.

Ledwie Herbert przyszedł do siebie, chciał wracać do domu, nad którym dach się walił. Wszyscy obecni wstrzymywali go gwałtem, ale on ogromnie zrozpaczony krzyczał:

— Na Boga Świętego, puszczajcie mnie. Pieniądze! Pańskie pieniądze są w palącym się domu. Muszę je stamtąd wyratować!

Ale para silnych rąk wzbroniła mu tego kroku nierozważnego.

— Na miłość Boską — krzyczała Herbertowa gdzie jest Katarzyna i druga dziewka?

— Jestem tutaj, zawołał płaczliwy głosik z tłumu i młoda dziewczyna, od świętnie ubrana, zbliżyła się do leśniczyny.

— A Katarzyna? — zapytała pani Herbertowa mocno zaniepokojona. — Wielki Boże, ona jest już stracona!

Teraz leśniczy wyrwał się z nadludzką siłą z silnych rąk męskichh, które go trzymały.

— Ona służyła mi tak wiernie — wołał — nie mogę dać się jej nędznie spalić, nie chcąc ją nawet ratować.

— Herbercie, zginiesz z nią razem — lamentowała leśniczyna.

— Więc zginę, czyniąc swój święty obowiązek wobec bliźniego — odparł jej mąż i rzucił się odważnie w płonący dom.

Wśród tłumu powstała taka cisza, jak gdyby anioł śmierci przeleciał, a uwaga wszystkich tak wyłącznie była zwrócona na palący się dom, że nie słyszano nawet przybycia pierwszej sikawki.

W tym dał się słyszeć okrzyk radości, bo w palących się drzwiach domu ukazał się Herbert, niosąc na rękach oszołomioną starą Katarzynę.

Zaraz uwolniono go od ciężaru.

— Wody! — krzyknął leśniczy Herbert ochrypłym głosem.

Podano mu ją natychmiast, a on pił dużymi łykami.

Jego włosy i broda były usmalone, twarz poczerniała z dymu, a ręce i nogi miał straszliwie popalone.

— Czy stara Katarzyna nie żyje? — zapytał Herbert słabo, wskazując opaloną ręką na nieruchomą postać starej służącej.

Gdy mu nie odpowiedziano, powtórzył trwożnie pytanie.

Nagle przypomniał sobie pieniądze, które mu powierzono.

— Pieniądze — krzyknął dziko — muszę wejść tam raz jeszcze po pieniądze.

Gdy znów chciał do domu wlecieć, runął budynek z trzaskiem.

— Jestem zniszczony — jęknął stary leśniczy — Suma którą mi powierzono, a której nie mogłem wyratować z płomieni, tak jest wielka, że nie będę nigdy w stanie ją zwrócić i dać odszkodowanie memu panu za stratę.

Z rozpaczą załamywał ręce.

Zrujnowany żebrak — jęczał on boleśnie — gorzej jeszcze niż żebrak, bo pieniądze, które miałem u siebie, były depozytem, który mnie powierzono i

Ciąg dalszy na stronie 697.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

TWOJE LISTY...

...Tyle ich mam — a wszystkie różowe, pachnące
Drżą skargą, bólem — śmieją się radością i ciszą.
Przez każde słowo, przebija się twej duszy słońce —
I pachną ukojnie, upajam się nimi jak haszyszem.

— Twoje listy! — W tych dwuch słowach zamyka się wszystko:
Miłości górnej wzloty, sny słodkie, wzniosłe ideały,
Wszystkie dobre cele, które przez Ciebie obrały w mej duszy siedlisko
Piękny, marzeń upojnych, różanych — świat cały!

Wszystkie skrzętnie zebrałam, schowałam głęboko,
Czytam wówczas, gdy duszę mą smutek owionie,
Gdy czasem łzą srebrzystą przesłoni się oko,
Lub w spaźmie rozpaczy ból zawrze mi dłonie.

— Dziś czytam Twoje listy, piękne i pachnące,
Piękne listy — kochane, przysłane z daleka..
I czuję, że w duszy mej znów wstaje jasne słońce,
Choć niewidzialna mgła tęsknoty me serce powleka.

„Biała Uajali".

DO WIADOMOŚCI ZAINTERESOWANYCH!

„Hord" podaje do wiadomości zainteresowanych:

„Zefi", pamiętam o Tobie, najlepsza z wszystkich kobiet.

„Lawrence", czy gniewasz się? Nie mogłem odpowiedzieć! siły wyższe!

Serdeczne pozdrowienia i uznanie — p. Mieczysławowi Grzegorskiemu i p. Feliksowi Płóciennikowi — za piękne wiersze. Napiszcie do mnie!

„Białej Uajali", „Samotnej Klarucie", „Nemezis", „Lawinie" i wszystkim innym Drogim Sympatykom — ślę swoje najszczersze życzenie radości życia i pogody ducha".

POSTE - RESTANTE

„Sentymentalna Lusieńka" i *„Modrooka Gerri"* — dwa te pseudonimy kryją dwie dziewczynki z dalekiego Śląska Cieszyńskiego, ale posłuchajmy, co nam one mówią o sobie:

„Sentymentalna Lusieńka", to ja — trochę muzykalna, lubiąca niekiedy pomarzyć. Pragnę nawiązać korespondencję z miłymi członkami „Krainy". Nawiasem dodam, że lubię debatować na różne tematy. Jestem wcale poważną, lecz gdy potrzeba, umiem być nawet bardzo wesołą.

Zainteresowali mnie specjalniej „Lawrence", „Ikar II", „Biały Zwid" i „Stepowy Płomień". Może któryś z nich zrobi mi przyjemność i napisze do mnie? Odpowiedź pewna!"

„Druga z nas — „Modrooka Gerri" — jest milutką blondyneczką o oczach, jak chabry modrych. Choć sama nie należy do poważnych, to jednak zachwyca się ludźmi mądrymi i poważnymi. Może znajdzie się ktoś chętny do korespondowania ze mną?

Listy prosimy kierować, poste-restante Pruchna, Śląsk Cieszyński dla „Sentymentalnej Lusieńki" lub „Modrookiej Gerri".

„Smutnej Ślązaczce" ślemy całą furę milutkich pozdrowień oraz przyjacielski uścisk dłoni. W rzeczywistości jesteś miłą i szczęśliwą mężatką — czy się mylimy?? Jesteśmy znajomymi z sąsiedniej wsi".

KORESPONDENCJA W JĘZYKU ESPERANCKIM

„Jaś Sokół". Dziękuję Panu za pozdrowienia i umieszczam wszystkie komunikaty:

„Halo! Zasyłam serdeczne pozdrowienia Pani, która dnia 8 sierpnia br. o godz. 4 popołudniu siedziała na drugim brzegu Wisły w Grudziądzu i czytała nasz tygodnik „Moje Powieści". Zapytuję tą drogą, czy jest Pani stałą czytelniczką, czy też może należy Pani do „Rodzinki", do naszej kochanej „Krainy"?

Nadawczynię ulubionego walczyka Straussa dla „Blondyna Sokoła" z Pomorza, nadanego dnia 9 sierpnia br. przez rozgłośnię pomorską podczas koncertu życzeń — proszę bardzo o skreślenie kilku słów, gdyż!...

Trzem przyjaciółkom „Luni, Izi i Elusce" zasyłam przyjacielski uścisk dłoni i zapytuję, czy któraś z Pań nie była nadawczynią tego walca? Zainteresowałem się Paniami i proszę o wymianę myśli w drodze listownej.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby Panie zechciały podjąć ze mną korespondencję, gdyż lubię dzielić się wrażeniami bez względu na to, czy są w danej chwili przykre, czy miłe.

Pozdrawiam mile wszystkich Czytelników oraz „Krainiaków" i zapytuję, czy znajdzie się wśród Was ktoś, co chciałby nawiązać ze mną korespondencję po esperancku (początki)? Może ktoś się ośmieli — czekam!

POWRÓCIŁA JUŻ!...

„Królowa Awanturnica". Powróciła już z wakacyj ta mała entuzjastka „Moich Powieści" i, pozdrawiając wszystkich „Krainiaków", prosi, aby zamieścić poniższy dopisek:

„Baronie Cygański" — dziękuję Ci za pozdrowienia i zasyłam przyjacielski uścisk dłoni. Sądzisz, że mnie znasz? Nie przeczę, lecz gdzie pewność? Wobec tego, jeśli byłoby Ci na rękę, napisz do mnie, a wówczas odpowiem Ci. Adres mój: Tczew, poste - restante dla „Królowej Awanturnicy".

Ponadto specjalne pozdrowienia dla „Czarnego Charakteru" i „Ziuka" z Torunia.

DUŻO MIŁYCH CHWIL!!

„Lunia, Izia i Elusia". Jedna z tej przemiłej trójki, mianowicie Izia — przesyła moc pozdrowień dla wszystkich członków „Krainki". Pisze sama, bo obie jej przyjaciółki bawią na wakacjach. Zresztą powiem Wam, że Izia także jest zajęta bardzo w ostatnich czasach i dlatego napisała mi tylko pocztówkę a przecież napisała i kocham ją za to!

Dużo miłych chwil życzę Ci, Iziu, jako i Twoim przyjaciółeczkom: Luni i Elusi.

CZEKAM NA ODZEW

„Cyganka o smętnych oczach". Dziękuję Ci serdecznie za pozdrowienia, które z równą szczerością odwzajemniam i umieszczam komunikaty:

„Kochana „Banialuko" — Dziewczynko Droga, przepraszam mocno za niegrzeczność, lecz nie mogłam odpisać! Nie miałam czasu.

O ile pozwolisz, to napiszę długi list. Czekam niecierpliwie na odzew.

„Dziewczyno Południa" — skreślić kilku nawet słów nie mogłam, gdyż byłam niesłychanie zajęta. Jeżeli nie gniewasz się na mnie, to może wskrzesimy naszą korespondencję — czy zgoda?

Dla obu tych dziewczynek ślę moc pozdrowień! Ponadto dla tych wszystkich, którzy przesłali mi słowa, dowodzące ich pamięci o „Cygance o smętnych oczach".

DLACZEGO?...

„Banialuka". Otrzymałam list Twój, Droga Dziewczynko, z dnia 14 sierpnia i z miejsca spieszę z zapytaniem „dlaczego"? Czy musi tak być, i czy to jest już bezapelacyjnie ustalone?? Wiesz chyba o czym myślę!

Mówię Ci ze smutkiem wielkim, że ogromnie przykro zaskoczyła mnie ta decyzja — nie chcę jej! Nie mogę pogodzić się z tą nagłą zmianą, której niczym konkretnym nie postarałaś się umotywować. Namyśl się jeszcze i napisz mi — poczekam na potwierdzenie omawianego listu i wówczas dopiero spełnię to, o co mnie prosisz, lecz pamiętać chciej, że będzie to pierwsza przykrość, jaką mi przez długi czas naszej wzajemnej sympatii wyrządzisz. Pierwsza, ale bardzo silna! Bardzo!!

Doprawdy, że nie umiem pogodzić się z tym faktem i jest mi niesłychanie przykro...

Myślę, że gdyby wszyscy moi „Krainiacy" zaskakiwali mnie wiadomościami tak bolesnymi, stałabym się człowiekiem bardzo smutnym i absolutnie bez otuchy patrzącym w świat.

Pozdrawiam Cię i czekam na odpowiedź!

ŻYCZĘ DUŻO ZADOWOLENIA

„Humorystka" donosi nam, że długi czas była bez humoru i to z powodu choroby swej mamusi i dla tego nie miała sposobności i czasu wprowadzić w czyn swej zapowiedzi częstego pisania do nas. Na szczęście zdrowie jej mamusi poprawia się znacznie, a wraz z nim powraca humor tej przemiłej dziewczynce.

Napiszcie do niej, a zapewne olśni Was swym szampańskim usposobieniem i zachwyci beztroskim podejściem do spraw codziennego szarego życia. Życzę Wam i Jej dużo zadowolenia w korespondencji!

JUŻ DWA LATA...

„Zadumana Dusia". Posłuchajcie, jak pisze do nas mała „Zadumana Dusia":

„Już dwa lata zabieram się, ażeby wstąpić do tej szczęśliwej „Rodzinki" — aż nareszcie nabrałam odwagi, aby listownie poprosić o przyjęcie w jej szeregi.

Życie moje jest podobne do szarych, smutnych dni jesiennych. Jedyną rozrywką, to „Moje Powieści", które czytam z tak gorącym zainteresowaniem i z taką, jakby to powiedzieć, z taką bezpośredniością, że miewam chwile złudzenia, iż już należę do „Krainy" i że to do mnie wołają te kochane komunikaty z tego czy innego listu! Szczęśliwa to instytucja ta Wasza „Rodzinka" — szczęśliwa i dla mnie upragniona.

A teraz powiem kim jestem i gdzie mieszkam. Otóż jestem bardzo młodą ciemno - blondynką o niebieskich oczach, a buzi okrągłej. Kocham marzenie i muzykę. Mieszkam na małej wsi, gdzie pracuję w charakterze nauczycielki domowej.

Macie krótki opis spraw dotyczących mnie. Na zakończenie zasyłam pozdrowienia wszystkim razem, a z osobna „Reni z Kolna", „Uśmiechniętej Wandulce" oraz „Zrównoważonemu Jasiowi" i proszę, ażeby któraś z tych kochanych dziewczynek napisała do mnie. A może „Zrównoważony Jaś" też zechce napisać?

Z PRZYJEMNOŚCIĄ

„Fagini z Pałuk". Dziękuję Panu za wszystkie słowa uznania oraz pozdrowienia i wzajemnie ślę swoje.

Jeżeli będzie Pan w Żninie, to oczywiście nie mam nic przeciwko wizycie Pana w naszej redakcji!

Wyznaję, że chętnie chciałabym dowiedzieć się coś więcej o Panu, gdyż to co wiem jest raczej niejasnymi domysłami niż pewnością.

Z przyjemnością usłyszę od Pana scharakteryzowanie Jego osoby i życia. Salem!

CZY POZWOLICIE?

„Królowa Gizella". Słusznie Pani zauważyła, że możesz mnie zobaczyć żywą, gdy zechcesz. Możesz wszak przyjechać do Żnina i odwiedzić mnie w redakcji.

Współczuję Ci bardzo i przykro mi przyjąć, że masz tak wysoce rozwiniętego (niech się tak wyrażę) pecha. W każdym razie postaram się go nieco zmniejszyć. Trudno pogodzić się z faktem, że taka inteligentna dziewczynka, jak Ty — ma tak mało szczęścia w życiu, że każde jej przedsięwzięcie obraca się w niwecz. Że takie miłe stworzonko musi aż tracić ochotę do życia — takie stworzonko, które w życiu codziennym jest Dziewczynką szczerą i nawet wesołą. Doprawdy, że musimy coś przeciw temu zaradzić. Poczekajno, proszę! Zaraz pomówię z moimi pupilami i niech to „świśnie", jeżeli w dalszym ciągu Twój osławiony pech zechce nam przeszkadzać!

„Czarny Hajduczku", „Biała Uajali", „Zbijobruku poznański", „Banialuko", „Słodka Maruszko", „Zuch Dziewczyno", „Tu Aldek'u", „Te - Em'ie", „Wirrycie", „Jasiu Sokole" i wy wszyscy, którzy jesteście dziećmi mej duszy, ozdobą mego życia — czy pozwolicie, abym zwracała się do Was na próżno? Sądzę, że nie — przecież rozumiemy się i wspieramy wzajemnie. Więc zajmijcie się tą małą - pechową „Gizellą".

A teraz dopisuję Twoje, Droga „Gizello", komunikaty:

„Jasińce" życzę dużo radości i zadowolenia w życiu.

„Kopciuszku" — jesteś podobno wesołą. Napisz do mnie, gdyż polubiłam Cię bardzo. Wszystkich „Krainiaków" i Czytelników naszego pisma pozdrawiam i proszę, aby napisali do opuszczonej „Królowej Gizelli".

WASZĄ JEST RZECZĄ...

„Renia z Kolna". Serdecznie dziękuje mnie i Wam. Drodzy „Krainiacy", za przyjęcie jej do naszego grona, lecz prosi, aby któraś z Was zapoczątkowała korespondencję z nią, gdyż sama jakoś nie może się zdecydować. Pewnie dlatego, że czuje się jeszcze człowiekiem „nowym" w naszej zgranej „Rodzinie" i boi się, aby nie zabrzmieć w niej mimowolnym dysonansem. Aby tak nie było, Waszą jest rzeczą!

Pozdrawia Was bardzo serdecznie mała „Renia z Kolna".

JUŻ MI TĘSKNO...

„Słodka Maruszka". ...za kilkoma serdecznymi słowami od Ciebie i „Krainiaków". Nikt do mnie obecnie nie pisze — pusto wokoło i głucho. Nie wiem, co jest przyczyną, że tak mało teraz do mnie piszą — czyżby w cudne dni lata zapomnieli o drugich? Czyż tylko żyją myślą o sobie?

Przecież to brzydko, bardzo brzydko być egoistami!!

Może wszyscy ci, którzy przeczytają te słowa i których one dotyczą — nie będą zwlekali dłużej i naprawią wyrządzoną mi krzywdę.

„Dzinko" — za wiersz cudny dla mnie całuję Cię stokrotnie! Sprawiłaś mi niezmierną radość — dziękuję ci bez końca!

„Romantycznemu Cyganowi" przesyłam pozdrowienia, a na falach eteru najpiękniejsze melodie.

„Wiarusie Murzynku" — odpowiedzi na list nie będzie. No, bo... bo nie było adresu. Zrozum!

„Cyganko ze smętnymi oczami" — przyjm moc pozdrowień — od kogo, domyśl się.

„Siła" pozdrowień dla wszystkich z „Krainki" — jakby powiedział Zagłoba z „Potopu". Ale a propos — co z „Zagłobą Wielkopolaninem"? Czy się nie odezwie w „Krainie"?!

Powiem Ci tych kilka ciepłych słów, Ty Mała Słodkości! Jesteś naprawdę kochanym Dzieckiem i przykro mi, że musisz aż skarżyć się na swoich dotychczasowych współkorespondentów, ale pociesz się proszę tym, że rychło już pozjeżdża się nasza ferajna z wakacyj i przeróżnych wycieczek, a wówczas rozszumi się, rozhyboce wartki potoczek naszego rodzinnego życia. I wtedy będziesz mi się skarżyć na nadmiar listów, które niecierpliwie wołać będą szeregami różnego rodzaju literek na kolorowych i białych arkuszach o odpowiedź.

Wówczas będzie Ci rósł stos listów, jak mnie obecnie i wszystkie będą takie miłe i takie nieznoszące zwłoki w odpowiedzi, jak moje!

I wtedy będziesz tak, jak ja zadowolona i tak samo będziesz lubić „Krainiaków", nie wymawiając im egoizmu.

TO NIEMOŻLIWE...

To niemożliwe, to nie do wiary,
Aby w tę głuchą noc niepokoju,
Los nienawistny, jak popiół szary —
Zabrał na zawsze już szczęście moje.

Przecież mi było ono w dniach życia
Bratem serdecznym, jak żaden bliskim,
Było mi ciszą, słońcem w błękicie,
Ożywczym źródłem, było mi — Wszystkim.

To niemożliwe, to nie do wiary,
Aby zostały znów tylko ze mną
Te dni powszednie, jak świat już stare,
I ta tęsknota nocy bezsennych.

Może to tylko złych złudzeń chwila,
Że radość znikła i w sercu pusto,
Może, gdy smutne oczy rozchylę,
Szczęście znów poda mi swoje usta?

Maria Zemmlerówna.

POZDROWIENIA

„Mała Konwalijka" i *„Maruta"* przesyłają wszystkim „Krainiakom" swoje najserdeczniejsze pozdrowienia z Częstochowy, dokąd udały się z pielgrzymką.

ROBIĘ NOWĄ REWOLUCJĘ...

„Te — Em". To nic, że nie pisał Pan w czasie odbywających się egzaminów — główne, że masz je Pan już poza sobą. A słyszę, iż wcale nieźle bawiłeś się w Poznaniu. Piękny i miły jest ten nasz Poznań, ma Pan słuszność.

Wierszyk umieściłam — jest Pan, Miły „Te — Em'ie", zadowolony

Mało mam dziś czasu, więc się skracam. Pozdrawiam Pana serdecznie i umieszczam Jego komunikaty:

„Halo! „Zbijobruk Poznański" — myślałem nad tymi pozdrowieniami z Poznania i z... dość długo, ale niestety „sans resultats". Może jednak po tym „z" Pani jeszcze coś dopisze. Jestem szalenie ciekawy — kto się pod tym pseudonimem ukrywa. A czy ja w ogóle Panią znam?....

Dalej znowu Poznań: Pan J. F. Płóciennik. Chyba z gimn. Mickiewicza się zgadza. Pan tam się wkuwał i ja też — prawda?

Jeszcze raz proszę o listy Poznanianki i Poznaniaków.

Halo p. „Dusiu" — wierszyk już napisałem na Pani życzenie. Prześlę go Pani w najbliższych dniach listownie pod stary adres — a potem dopiero, o ile będzie się podobał...

Chętnie odebrałbym kilka słów od „Fali". Odpowiedź oczywiście szybka, pewna i... ciekawa.

No i kolej na „Samotną Oleńkę", której donoszę, że odkryłem Jej incognito przy pomocy psa tego naszego wiecznie pijanego „tajnego". Nareszcie! Zasyłam pozdrowienia.

Wszystkim Paniom i Panom pozdrowienia. Panu Grzegorskiemu przyjacielski uścisk dłoni.

Pani Zosieńko! Pani nie pokazała się na zdjęciu. Dziś ja robię nową rewolucję!... Proszę, aby Wujek Janusz pokazał się na zdjęciu!

Wujku Januszu! My chcemy — wszyscy Sympatycy Twej teczki — zobaczyć Cię!

Wszyscy Sympatycy oddajcie swoje głosy w tej sprawie!!!

Teczka Wujka Janusza

SZCZĘŚCIE POWROTNE

Wszystko jest takie bliskie
i nie tak bardzo samotne,
gdy kroczy się słońca ścieżyną
w szczęście
powrotne — —
i nie tak bardzo jest sercu
smutno bez granic, ogromnie,
gdy ktoś pamięta o nas,
o tobie,
o mnie!

J. Baranowski.

DZIŚ WIEM...

Sądziłem kiedyś, że to była miłość
I jakiś złudny i bajkowy sen,
W którym o tobie ciągle mi się śniło,
Lecz to nie prawda; dziś to jedno wiem.

Sądziłem kiedyś, że kochasz, że tęsknisz
I byłem smutny, kiedym smutku cień
Zobaczył w oczach... Już nie wierzę więcej,
Boś mi kłamała — dziś to jedno wiem.

Gdyśmy usiedli w cichy, ciepły wieczór,
Gdy ku schyłkowi miał się cudny dzień,
Mówiłaś cicho, a czas szybko leciał...
To było kłamstwem — dziś to jedno wiem.

— — — — — — — —

I kiedy teraz w ciszy opuszczony
O mej przeszłości zamyśliłem się;
Wspomnieniem chwil tych — choć to dobrze wiem,
Że nie kochała — myśl ma płynie do niej!

„Te - Em".

„Królowa Gizella". List Pani sprawił mi dużo radości. Taki jestem zadowolony, że nie pogniewałaś się na mnie, Droga Pani! Proszę i nadal pamiętać o Wujku i przesłać mu czasem jakieś życzliwe słowo. Czuję się zaraz więcej ważnym, gdy podobna Pani istotka powie mi, że ma nie urazę a wdzięczność za szczerą krytykę jej utworów.

Rozmawiałem z p. Zofią i dowiedziałem się, że na oba listy Pani odpowiada w dzisiejszym numerze, więc okażo się, że się nasze listy zbiegną w drodze do Twego serduszka. Możesz wybierać...

A teraz ściskam Pani łapki i pozdrawiam serdecznie.

MOŻE PROZĄ...

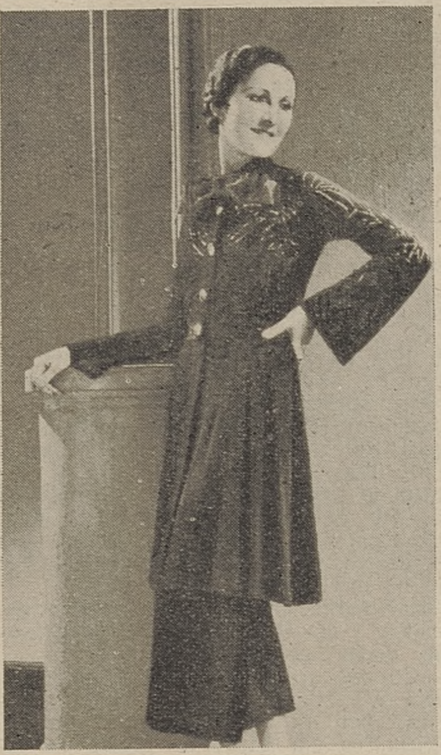
„Kalina". Przyjemnie było mi poznać w Pani nową entuzjastkę naszego pisma i z tym większą ciekawością zabrałem się do przeczytania Jej wierszyków. Niestety! — nie znalazłem w nich tych wartości, jakich się spodziewałem. Wierszyk „Treść życia" ujęty słabo, a „Burza" jest raczej rymowaną prozą. Nawiasem mówiąc — prozą piękną. Może pomyśli Pani, Miła „Kalino", o pisaniu prozą — zdaje mi się, że w tym kierunku ma Pani dużo więcej szans. Nie twierdzę jeszcze, że... talentu, bo abym mógł stanowczo zaopiniować, musiałbym przeczytać przynajmniej kilka Jej nowel. Może postara się Pani w najbliższej przyszłości napisać coś i przysłać mi znowu do oceny — dobrze?

Przyznam się Pani, że sam ogromnie ciekawy jestem, czy rzeczywiście masz zdolności pisarskie w tym stopniu, w jakim się spodziewam.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby w krótkim czasie zachwyciła nas w „Moich Powieściach" i jedna i druga nowelka, autorstwa Pani.

Gdyby zaśmiała się soczystą, jasną barwą Pani pseudonimu, owionęła nas świeżym tchnieniem letnich podmuchów i przejmowała pre myślaną, szlachetną głębią. Tego życzę Pani pierwszej, drugiej i dziesiątej nowelce in spe i pozdrawiam Cię jak najserdeczniej.

Raj kobiet



Piękny model popołudniowej sukienki z czarnej wełnianej jersey, przybrany dużą aksamitną kokardą koloru ciemnozielonego.

Jak się należy ubierać

Naturalnie, że każdy ubiera się, jak może i jak sam sobie radzi. Ciężkie warunki materialne nauczyły nas odmawiać sobie wielu najniezbędniejszych rzeczy i obywać się czym Bóg da, a jednak dobrze się ubierać i dobrze wyglądać pragnie każda kobieta na całej kuli ziemskiej.

Każda kobieta, zwłaszcza młoda, zdobywając się od czasu do czasu na kupno czegoś nowego, pragnęłaby, by to było ładne, praktyczne no i modne. By kupione okrycie wyglądało zgrabnie, nie było za bardzo pocięte i w przyszłości dało się przerobić. Oczywiście można to wszystko osiągnąć, ale zanim się sprawi coś nowego, trzeba się dobrze zastanowić i przemyśleć, co właśnie jest nam najbardziej potrzebne. Naturalnie wełniana sukienka, taka i do kościoła i na niedzielę, w goście i na spacer, taka jedna najważniejsza i niezbędna.

Do takich sukien na „każdy raz" należy właśnie modna obecnie sukienka odcinana. Nadzwyczaj praktyczna i wygodna, gdyż może nam zastąpić jednoczesnie kostium. Można ją nosić tak latem jak i jesienią, a zawsze będzie wyglądała świeżo i inaczej, zależnie czym ją w danej porze uzupełnimy.

Robimy taką suknię z ciemnej gładkiej wełny, ale może być również zrobiona z jasnej — beżowej, niebieskiej lub popielatej. Pojedyńczej wełny na taką suknię wychodzi mniej więcej 4 metry.

Spódniczkę robimy gładką, przybraną jedynie fałdami, rozmieszczonymi na przodzie sukni, można też robić po jednej fałdzie z przodu i z tyłu. Fałdy gładko zastebnowane, rozchodzą się na 30 cm od dołu. Spódniczki i w ogóle suknie są w tym roku dużo krótsze niż w ubiegłych latach, jednak długość sukni musi zawsze być dostosowana do wieku i upodobania pani, która ma suknię nosić.

Bluzki-żakieciki robi się kilkoma sposobami. Albo bywa gładka wciągana przez głowę, przybrana przy szyi dużą kokardą z materjału jasnego lub riuszą z kolor. organdi i paskiem z tego samego materiału co bluzka, gęsto stebnowanym maszyną, albo też bluzeczka mocno dopasowana, sięgająca talii z krótką baskinką przyszytą do paska. Taką bluzeczkę zapina się na rząd małych guziczków zrobionych z tego samego co i suknia materiału: rękawy szerokie, ujęte w wąski mankiecik, przy szyi kokarda z jedwabiu w kratę lub mały okrągły kołnierzyk.

Do takiej spódniczki powinno się mieć na zmianę bluzeczkę cienką z niedrogiego krajowego jedwabiu, uszytą lekko i modnie, to znaczy z krótkimi marszczonymi w ramionach rękawami i małą kloszową baskinką od talii.

Taka suknia jest odpowiednia na każdą porę, a później, gdy wysłuży nam swe lata, podniszczy się i sprzykrzy, zawsze da się przerobić na „całość" która znów będzie wyglądała świeżo i inaczej.

DOBRA GOSPODYNI

Kompot z jabłek. Na kompot najlepsze są jabłka kwaskowate. Obrać ich kilka, przekroić na pół, a jeśli duże, na ćwiartki, wyjąć pestki i włożyć do zimnej wody, aby zczerniały. Gdy wszystkie gotowe, ułożyć je w rondelku, zalać wodą, dodać cukru i drobno pokrajanej skórki cytrynowej i nakrywszy gotować na wolnym ogniu, uważając, aby się jabłka nie rozgotowały. Jeżeli chcemy mieć jabłka, całe, to obrane i pokrajane kładziemy w gotującą wodę, by raz zagotować i zaraz odstawić, pozostawiwszy w tej wodzie pod pokrywą, aż zmiękną na tyle, ile dużych jabłek pół litra wody, ćwierć kg cukru potrzeba. Przygotować gęsty syrop, biorąc na 10 trochę skórki cytrynowej i kawałek cynamonu; przecedzić i polać jabłka ułożone na salaterce.

Kompot z jabłek niegotowanych. Łupinki z czterech jabłek, poprzednio obmytych i obranych, zalać ćwierć litrem wody, dodawszy jeden goździk i jedną łyżkę cukru i gotować pół do jednej godziny. W miarę, gdy się woda wygotuje, dolewać wrzącej, tak, aby płynu było conajmniej szklanka. Surowe jabłka, drobno poszatkowane, ułożyć na salaterce, zalać tym syropem i wcisnąć trochę soku cytrynowego. Można dodać roztartych, surowych orzechów lub migdałów.

Kompot z gruszek. Przyrządza się go tak samo, jak z jabłek.

Kompot ze śliwek. Sparzone śliwki węgierki obrać, powyjmować pestki, wrzucić do lekkiego syropu i raz zagotować.

Kompot z renklod. Niezbyt dojrzałe renklody ponakłuwać aż do pestek, włożyć je w zimną wodę i gotować na wolnym ogniu, aż spłyną na wierzch, następnie wyjąć je na sito. Przygotować syrop, biorąc na pół kg śliwek ćwierć kg cukru i ćwierć litra wody. W gotujący się syrop włożyć renklody, zagotować kilka razy, uważając, aby się nie rozgotowały i odstawić do wystygnięcia.

Kompot z wisien. Całe lub bez pestek wrzucić do gotującego się syropu.

Ze świata

Maszyna przyszłości która zawojuje przestrzenie powietrzne

Francuski instruktor lotniczy, Jacques Gerin, zbudował nowy typ samolotu, wyróżniający się wielką rozpiętością szybkości. Największą cechą ujemną nowoczesnego, szybkiego samolotu, jest stosunkowo duża szybkość lądowania. Niedogodność ta jest szczególnie odczuwana w samolotach bardzo szybkich, przeznaczonych do zawodów na szybkość. Dokładne i łagodne lądowanie na tych samolotach wymaga od pilota olbrzymiej umiejętności i precyzji.

Ponieważ nośność samolotu i związana z tym szybkość lądowania zależy od wielkości nośnej płatowca, francuski konstruktor postanowił zbudować taki samolot, w którym podczas normalnego lądowania lotu, dla osiągnięcia dużych szybkości, powierzchnia nośna byłaby jak najmniejsza, zaś podczas startu i lądowania zwiększałaby się, pozwalając osiągnąć minimalną szybkość i krótki rozbieg przy starcie.

Jak donosi prasa fachowa, Gerin'owi udało się całkowicie rozwiązać trudne zadanie. Jego samolot ma rzeczywiście olbrzymią rozpiętość szybkości. Istotę wynalazku stanowią dwa długie, wąskie skrzydła, niezwykle mocne, po których ślizgają się powierzchnie skrzydeł obciążenia, przypadające na metr kwadratowy skrzydła maleje, płatowiec staje się bardziej nośnym i przy mniejszej szybkości może się utrzymywać w locie.

Dzięki specjalnej budowie skrzydeł można je w locie zmieniać w sześciu różnych kombinacjach. W ten sposób skrzydła Gerina dają samolotowi odpowiednik samochodowej skrzynki biegów, pozwalając w najbardziej racjonalny sposób wykorzystać aerodynamicznie samolot.

Na podstawie zdobytych doświadczeń, konstruktor przystąpił do budowy wielkiego samolotu komunikacyjnego. Samolot, zaopatrzony w cztery silniki po 860 KM będzie ważył z obciążeniem 21 ton i rozwinie szybkość podróżną 530 km na godz.

Zainteresowanie fachowców nowym wynalazkiem jest bardzo duże. Świat lotniczy z niecierpliwością oczekuje budowy komunikacyjnego olbrzyma, który ma wykazać, że nawet i przy takich dużych obciążeniach samolot może być bardzo szybkim, dorównując szybkością wojskowym samolotom myśliwskim.

Środek zmuszający do mówienia prawdy

Prof. Reko, członek akademii nauk w Meksyku wydał ciekawą pracę o magicznych truciznach i środkach odurzających używanych wśród dzikich w Ameryce. Narkotyki amerykańskie coraz bardziej przedostają się do Europy. Tak np. peyotl to dzisiaj modny narkotyk, chociaż jeszcze kilka lat temu niewiele wiedziano o małym meksykańskim kaktusie tej właśnie nazwy, z którego ten środek sporządzają.

Środkiem który jakoby zmusza do mówienia prawdy jest „ololiuqui". Są to nasiona rośliny zwanej przez tubylców „coatlxoxouhqui". Po krótkim okresie niepokoju zapada narkoman po wypiciu odpowiednio przyrządzonego napoju z nasion w lekki sen z uczuciem błogiego spokoju. Jest przy tym na tyle czujny, że słyszy wszystko, co się dookoła dzieje, oraz może się w każdej chwili z odurzenia uwolnić. Pozostaje jednak wtedy przelotne uczucie mdłości. Jeśli jednak narkoman trwa we śnie, zjawiają się postacie mgliste, których rysy ulegają zwolna wyostrzeniu. Porozumienie z zatrutym jest bardzo łatwe. Mowa zahipnotyzowanych jest monotonna, zdolność fantazji niebywała. Objawy zatrucia dają obraz podobny do doświadczeń hipnotycznych bez żadnych następstw.

Szybkie zapominanie przeżyć ostatnich godzin, przy zachowaniu świadomości przeżyć wcześniejszych, osiągają Indianie przez wypicie napoju „sinicuichi" otrzymywanego z rośliny tej samej nazwy. Kilka początkowych łyków ożywia ich, stają się wesełsi, po kilku następnych wpadają w lekki stan odurzenia, odczuwając znużenie. Otoczenie zaciemnia się, głosy osób blisko znajdujących się dochodzą jakby z oddali. Upojony pogrąża się w przyjemny półsen. Po stanie odurzenia nie występują wcale objawy wyczerpania, ani też chorobliwego zmęczenia. Przy nadużyciu sinicuichi wystąpić może na drugi dzień żółto-widzenie, zwłaszcza w czasie deszczu i o zmroku.

Jedną z najstraszniejszych trucizn, jakie zna Ameryka, to „camotillo" ziemniak, którego bulwy działają po okresie 6 miesięcy, najpóźniej roku. Camotillo prowadzi nieuchronnie do śmierci wśród objawów porażenia oddechu. Środek ten był stosowany w Meksyku zbrodniczo dla usuwania ludzi wpływowych. Camotillo nie ma żadnego smaku ani zapachu. stąd też zatruci nie wiedzą nawet, kiedy go spożyli. Trucizna ta dotąd nie jest zidentyfikowana, być może, że jest to „ipomea bracteata".

Narkotykiem sprowadzającym okropne sny jest napój sporządzony z rośliny zwanej „ayahuasca" (odmiana „banisterii"), zawierającej banisterynę, której przypisują działania narkotyczne. Ayahuasca wywołuje ponadto halucynacje słuchowe w postaci wspaniałej i wyraźnej muzyki. Roślina przywieziona do Europy traci własności jakoby skutkiem wysuszenia w czasie transportu.

ADAM CZEKALSKI

Marynarskie długi

Nowela.

O, nie z pustymi kieszeniami włóczyli się po mieście tego dnia marynarze z załogi transoceanicznego statku „Mewa". Kieszenie ich w dniu tym pełne były pieniędzy. Każdy z nich posiadał w kalecie po pięćset złotych.

Na oceanie Atlantyckim, u brzegów wysp Falklandzkich, „Mewa" spotkała rozbity i na pół zatopiony statek, t. zw. kliper herbaciany, opuszczony w czasie burzy przez tchórzliwą załogę. Jednakże burza nie chciała go do kończyć. Przeleciała tylko nad nim i zginęła gdzieś na północy. Opuszczony okręt kołysał się na spokojnych falach, zaledwie wyglądając z wody, całkowicie zdany na łaskę morza. Zdawało się, że lada moment pójdzie na dno. Przez pusty pokład przewalały się fale; woda ściekała z niego w łono morza z cichym pluskiem i szmerem, tworząc tysiące strumyków. Pokaleczony kadłub kołysał się leniwie z boku na bok. Nad nim unosiły się z żałosnym jękiem białopióre mewy. Żarłoczne rekiny pędziły za okrętem, opisując ogromne koła.

Patrząc na ów statek, można się było domyślać, że w ciągu tych kilku dni, które spędził samotnie na morzu, fale zmyły z pokładu niejednego trupa. Rekiny pożywiły się, miały w ciągu tych dni ucztę.

Pomyślawszy dłuższą chwilę, kapitan „Mewy" postanowił spróbować wziąć kliper na linę i dociągnąć go do portu. To przecież się zdarza! Sam wrak okrętu kosztuje kilkaset tysięcy złotych. A może uda go się uratować

z ładunkiem? Niechby udało się uratować choć maszyny, to już dość.

Sześciu marynarzy popłynęło na strzaskany okręt. Następnie zmieniali się kolejno trzykrotnie. Blisko trzy doby spędzili majtkowie z „Mewy" na kliperze.

Zmieniali się regularnie co osiem godzin: godzin wachty pierwsza partia, osiem godzin druga i osiem trzecia. Marynarze trzy razy dziennie przeprawiali się na wrak klipera. Ci, którzy już odbyli niebezpieczną wachtę, wypoczywali swobodnie, zaś ci, którzy zupełnie jeszcze nie byli na kliperze, z radością spoglądali na towarzyszów, pracujących na „Wichrze", jak się nazywał kliper. Statek był mocny i dobrze zbudowany, ale pełen wody. Cud też to prawdziwy, że dotąd nie zatonął. Obawiano się jednak, że może pójść na dno lada chwila, jak kamień. A wtedy — żegnajcie...

Majtkowie szli na „Wicher", jak na pewną śmierć. Śmierć strzegła ich na każdym kroku, uśmiechała się do nich co chwila, szczerząc zęby swej okropnej paszczęki. Śmierć straszyła ich krzykiem latających mew, skrzypieniem wiązań okrętowych i pluskiem przelewających się przez pokład fal.

Trzy doby.

Dziewięć razy zmieniali się marynarze.

Kapitan, stary wilk morski, doskonale znający dusze marynarzy, nie chciał krzywdzić nikogo. Każdy jednakowo ryzykował życie i na równi z innymi zdobył zarobek, pracując przy prowadzeniu klipera do portu.

I oto trudne dzieło udało się. „Mewa", ciągnąc wolno za sobą na stalowych linach rozbity kliper, przepłynęła obok olbrzymiego posągu Wolności, weszła do olbrzymiego posągu Wolności, weszła do olbrzymiego portu w Nowym Jorku i zarzuciła kotwicę. Uratowała blisko półtora miliona złotych, własność jednego z towarzystw okrętowo - ubezpieczeniowych.

Załoga „Mewy" otrzymała wynagrodzenie za uratowanie „Wichru" po pięćset złotych na głowę.

Nie było to wiele, jeśli się zważy, że ta załoga stawiała życie na kartę. Ale... czyż marynarz, idący na morze, nie stawia życia na kartę — i to za marne grosze?

Teraz załoga „Mewy", z kieszeniami nabitymi złotem, wróciła do kraju, do starego gniazda marynarskiego, do Gdańska.

I marynarze zaczęli się bawić. Nie, to zbyt słabo powiedziane. Wszakże bawią się również i kupcy, i ich synkowie, i kasjerzy, gdy im się uda maczać palce w kasach pracodawców. Oni marynarze szaleli!

W jednej restauracji z powodu jakiegoś zbyt ostrego słowa kelnera, wybili naczyń i mebli na 300 złotych. W innej zmusili gospodarza do wniesienia na palę... wanny. Wlali do niej kilka tuzinów butelek wina i garnuszkami pili wprost z wanny. Śpiewali marynarskie piosenki, śmiali się i klęli tak, aż ściany się rumieniły i szkła dźwięczały.

Pijani włóczyli się po mieście, zaczepiali przechodniów, kłócili się z policjantami i niepokoili spokojnych obywateli.

Jeden z nich stary Brzeziński, wymyślił sobie w pewnej chwili oryginalną rozrywkę: legł jak długi na szynach tramwajowych.

— Niech spróbują przejechać marynarza! — wołał, leżąc na bruku.

Dokoła niego zgromadził się wnet tłum gapiów. Jedni zaśmiewali się, drudzy wymyślali psotnikom.

— Cóż to za idiotyczne rozrywki! Ci marynarze poszaleli!

Następnie pojechali do Gdyni i zebrali się tam w jednej z knajp portowych. Porozsiadali się za stołem, pełnym butelek, krzyczeli, śpiewali piosenki, klęli i brali się do bójki.

— Plunę na to życie sobacze! — krzyczał waląc owłosioną pięścią w stół, sternik Stawinoga. — Jak Boga kocham — plunę i pójdę w diabły od morza. Bo cóż tu za życie? Głodujesz, to znów marzniesz, lub pieczesz się żywcem w słońcu! Mam blisko tysiąc zł. gotówki. Ożenię się z Jadwigą i sam otworzę restaurację.

— A ja znowu znajdę sobie posadę na lądzie! — wtórował mu Tomek Szymczyk. — Włożę czarny garnitur, białą koszulę, krawat. Do diabła!... Będą chcieli kaucji, to ją mam! Macie — bierzcie!

— Pójdę na wieś! — westchnął inny. — Tam, braciaszki wy moje rodzone, wprost raj, nie życie!

A gdy oni tak rozmawiali, do lokalu restauracyjnego weszła okryta łachmanami, blada młoda kobieta z dzieckiem na ręku i stanęła przy stole marynarzy. Nie rzekła nic, tylko patrzyła na nich pełnymi cierpienia i rozpaczy oczyma.

Gospodarz chciał ją wypędzić. Wysoki, tęgi, rumiany kelner położył już dłoń na jej ramieniu.

— Żebraczka? A do policji chcesz? Wynoś się stąd!

Lecz tu wtrącili się marynarze.

— Kusz sam, a ją zostaw tutaj! Hm... Chcesz napić się z nami ślicznotko?

Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy.

— Więc czego chcesz od nas?

— Szukam... męża!

Ktoś parsknął śmiechem.

— Wybieraj, ślicznotko, wśród nas! Chcesz, zostanę twoim mężem? Źle ci nie będzie! — zaproponował ktoś.

— Nazywał się Bolski! — szepnęła bezdźwięcznie. — Marcin Bolski! Dobry był, kochał mnie. I dziecko. Bardzo nas kochał i tęsknił. Gdy tylko wracał z morza, natychmiast przybywał do domu. Z dzieckiem się bawił. Mnie w robocie pomagał. Słaba jestem! Gniewałam się na niego, nie dawał mi robić. Czyż to zajęcie marynarza — sprzątać mieszkanie? On taki silny, taki śmiały, taki rozumny...

— Gdzież on teraz? — zapytał ktoś.

Wielkie oczy napełniły się łzami. Drgnęły blade usta. I dziecko jakby odczuło żal, zakwiliło i trwożnie poruszyło się na jej rękach.

— Nie wiem, nie wiem! — wyszeptała zmęczonym, żałosnym głosem. — Powinien był wrócić już przed kwartałem. Popłynął do Ameryki na niemieckim okręcie „Herrenwyk".

Naraz jakby iskra elektryczna przebiegła ciała marynarzy. Na „Herrenwyku"? Na tym samym „Herrenwyku", który dnia 22 listopada wpadł w orbitę huraganu W — N — W? Na tym samym „Herrenwyku", z którego załoga okrętu „Estonia" uratowała z narażeniem własnego życia tylko siedmiu marynarzy z liczby dwudziestu stanowiących załogę tego okrętu? Szczątki rozbitego „Herrenwyka" „Mewa" widziała następnego dnia po katastrofie.

— Tak, na „Herrenwyku"! Oczekuję go już czwarty miesiąc. Mówią, a i sama czytałam w gazetach, że „Herrenwyk" zatonął w listopadzie. Mówią, że tylko paru ludzi urratowano, a 13 utonęło. Ale to nie może być! Nie, nie! Mój Marciu żyje !— twierdziła z uporem kobieta.

Dziecko znowu zakwiliło i ucichło.

— Mój Marciu nie mógł zginąć! On przecież wiedział, że my oboje nie mamy nikogo na bożym świecie, prócz niego — ciągnęła kobieta. — Prócz niego jednego. Rodzina odwróciła się ode mnie. Matka powtórnie wyszła za mąż za jakiegoś dumnego pana i przeklęła mnie za to, że pokochałam Marcina. Zwykłym marynarzem jest mój Marcin. Wszyscy, wszyscy odwrócili się od nas! Przy nim jednak nie bałam się niczego, bo kochałam swego marynarza. Gdyby mi nawet sam król kazał rzucić mego Marcina, nie zgodziłabym się. To jego dziecko, syn marynarza.

I matka z miłością i dumą macierzyńską podniosła do góry dziecko. Chłopczyk uśmiechnął się i obrzucił jasnymi oczkami siedzących dokoła marynarzy. Wyciągnął rączki do ryżych wąsów Brzezickiego.

Bardzo mi ciężko czekać tak na męża! — ciągnęła kobieta cichym, pełnym skargi głosem. Z mieszkania mnie wyrzucają. Zadłużyłam się. Napisałam do matki! Otrzymałam odpowiedź: „Oddaj dziecko do przytułku i wtedy wracaj!" Ale ja wolę raczej umrzeć, niż oddać go do przytułku. On mój syn! Syn mojego Marcina. Mąż wróci i zapyta mnie: „Gdzie nasze dziecko"? Cóż mu odpowiem?

Zamilkła.

— I tak chodzę... Zaglądam wszędzie, gdzie zbierają się marynarze. Może kto widział? Ot, wy na przykład, wróciliście dopiero z drogi. Może spotkaliście mojego Marcina? Może przesłał mi przez was choć pozdrowienie? Nie gniewajcie się... Odejdę. Wiem, że wam przykro słuchać mnie. Ja wciąż płaczę, a wy bawić się chcecie...

Przymknęła oczy, ręce jej drżały. Po bladych policzkach toczyły się łzy.

Sternik Stawinoga uderzył pięścią w stół.

— Ach, niech mnie diabli porwą, moja mała! Na imię ci Marta?

— Mnie? — kobieta drgnęła. — Nie, Maria...

— No tak. Diablo słabą pamięć zaczynam mieć w ostatnim czasie. Maria Bolska. Tak, tak... Twój mąż pochodził z Pucka?

— Nie, z Gdyni...

— A, u diaska! Naturalnie, że z Gdyni! Doprawdy, diablo słabą zaczynam mieć pamięć! Jak ja to mogłem zapomnieć? Przedtem służył na „Qoburze I"?

— Na „Niemnie".

— Tak, tak, właśnie, na „Niemnie"! Rzeczywiście coś z moją pamięcią diabelnie krucho. Był trochę łysawy...

— Tak, po bokach...

— No tak, doskonale to pamiętam — łysawy! A, u czorta! Bardzo dobrze się stało, żeś tu trafiła, moja mała! Że ja nie spotkałem twojego męża w ostatnim czasie, no, to się mogło zdarzyć. Ale inni go spotykali. Ja — nie. A że byłem dłużny twemu chłopcu!... Niech Bóg skarze, jeślim nie dłużny twojemu chłopcu 80... a, u czorta! Całe sto złotych! Jak Boga kocham! Czy myślisz, że chciałbym Cię oszukać? Niech mnie szlak trafi na tym miejscu! 100 złotych! Nie, czekaj! Zdaje się, że 120! Tak jest, naturalnie, że 120! Przypominam to sobie doskonale! Masz, moja ślicznotko! Jak twój mąż wróci, powiedz mu, że sternik z „Mewy", Stawinoga, oddał mu dług! Masz jeszcze i dla malca dziesiątkę. Niech rośnie na marynarza...

I stary sternik podał młodej kobiecie garść banknotów i monet. A następnie, pomyślawszy chwilę, dodał nagle:

— Cóż za bydle z człowieka! panie Boże odpuść! Wszystko z głowy wylatuje, przecież twój mąż parę razy dawał mi pieniądze! Sam nie wiem, co mu wlazło do głowy przyszło?

— „Jeśli wrócisz, Wacku, do Gdyni wcześniej ode mnie, mówił wtedy do mnie, wręczysz mojej żonie 50 zł." Masz, bierz, ja cudzego nie chcę!

Z drugiego końca stołu odezwał się Brzezicki:

— Twój mąż był dżentelmenem, pani... jak ci tam jest... przegrałem u niego 50 zł, a on się nigdy nie upominał. Teraz jednak jestem przy forsie!...

Żylaste, twarde dłonie marynarzy wyciągnęły się ku Bolskiej, która z roztargnieniem i niezrozumieniem spoglądała na nich.

— I ja pożyczałem od twojego męża! — rozległ się znowu czyjś mocny głos.

Drżące ręce kobiety z trudem utrzymywały przygarść srebra i zmiętych banknotów. Jeden z marynarzy wziął od Bolskiej wszystkie pieniądze, włożył je do swej czapki i zaczął obchodzić dokoła stół.

— Hej, wy, kobyle dzieci! Zapomnieliście o starych długach? Płacić!

I do czapki zaczęły się sypać i sypać pieniądze.

Drugi marynarz wysypał je z czapki do jedwabnego szalika i związał mocno.

Młoda kobieta niby we śnie wyszła na ulicę.

A kiedy drzwi zamknęły się za nią, Brzezicki spytał sternika Stawinogi:

— Słuchaino, Stawinoga! Czy ty naprawdę znałeś męża tej kobiety i naprawdę byłeś mu winien?

— Głupiś! — warknął krótko stary wilk. — Naturalnie — oszukałem tę ślicznotkę. A co, mam jeszcze stary rozumek, co? Zręcznie ją podszedł, co?

Jednocześnie Brzezicki pomyślał:

— A zatem, przyjaciele... my wszyscy, cała ferajna, można powiedzieć — oszukaliśmy młodą wdowę.

Ktoś krzyknął:

— Hej, kelner! Mam jeszcze parę złotych — dawaj wina! Chłopcy, czegoście tak nagle oniemieli? Hukniemy sobie piosenkę. Naszą marynarską!

— Jutro — szeptał Brzosko do Stawinogi — jutro pójdę odnowić kontrakt z „Mewą" na pół roku... Moja moneta już — fiut!

— Wszyscy tam będziemy — odrzekł sternik.

— Cicho, głupcy! Śpiewać!

I zabrzmiał chór potężnych głosów:

„Czajka płacze, wicher jęczy,
maszt się skarży, skrzypi, gnie.
Burza siły nasze męczy —
poza statkiem ślad się rznie...

jest moim obowiązkiem pieniądze te zwrócić. — O, ja nieszczęśliwy. Doczekałem się siwych włosów i nie byłem nikomu nic winien, a teraz dopiero na starość zwalił się na mnie dług, którego nigdy już nie będę mógł spłacić.

Wszyscy obecni byli ogromnie wzruszeni boleścią starca.

— Pocieszcie się panie leśniczy — rzekł Hubert — to przecież nie jest pańska wina w tym, że wybuchł pożar.

— I przecież pan także stracił wszystko, co pan tylko posiadał — rzekł drugi pomocnik — panu najgorzej się stało.

Zabiegi około ugaszenia pożaru, były nadzwyczaj niezręczne.

— Tu już nic nie da się zrobić. O najmniejszej nawet pomocy ani mowy nie ma — rzekł wójt. — Dobrze, że innych budynków na szczęście nie ma w pobliżu a stajnie i stodoły i tak już się dopalają i uratować się nie dadzą. Bydło już też musi być uduszone przez dym, bo inaczej słychać by było ryk, jaki panuje w takich wypadkach.

Ogólna uwaga zwróciła się teraz na nieszczęśliwych pogorzelców.

Jeden z obecnych przy pożarze chłopów, ściągnął buty i zaofiarował je staremu leśniczemu, inny dał mu swój surdut.

Pani Herbertowej, która także była niezupełnie ubrana, ze wszystkich stron dawano najrozmaitsze części ubrania.

Starą Katarzynę zawinięto w koc i zaniesiono do sąsiedniej chaty.

Ze wszystkich stron okazywano im bardzo wiele współczucia.

Wtem nadjechał powóz, z którego wysiadł baron Stumfeder.

— Ponieważ pan teraz nie masz mieszkania rzekł niedbale baron do leśniczego — przychodzę przeto po powierzone panu pieniądze ze sprzedaży drzewa, gdzież one są?

Nie mogą przyjść do słowa i trzęsąc się na całym ciele, wskazał Herbert tylko na dopalający się dom.

— Co to ma znaczyć? Gdzie są pieniądze? — zawołał Egon niecierpliwie.

— Spaliły się — wyrzekł cichym głosem Herbert.

— Panie, pan żartuje — zawołał Egon oburzony — jak pan śmie pozwalać sobie na takie żarty?

— Sprawa jest zbyt poważna, abym chciał żartować. Sam ledwie uciekłem z życiem. Kiedym sobie przypomniał i chciał biec po pieniądze, w tej chwili dom się zawalił — odpowiedział Herbert.

— Pan obszedłeś się z obcymi pieniędzmi w sposób, który się nie da usprawiedliwić — zawołał Egon — będzie pan za to odpowiadał przed sądem.

— Nie obawiam się tego, przeciwnie, życzę sobie, ażeby się sprawa wyjaśniła i podpalacz żeby został schwytany — odpowiedział z godnością Herbert.

— A zatem pan sam przyznaje, że to było podłożone!

— Bez wątpienia — odpowiedział Herbert — ogień nie byłby się tak prędko rozprzestrzenił w innym wypadku.

— Nie pojmuję tego jednak — rzekł Egon — że nikt z licznych mieszkańców leśniczówki nie pomyślał o tym, aby ratować pieniądze. Młodzi ludzie powinni mieć więcej przytomności — dodał, robiąc aluzję do pomocników leśniczego.

— Przepraszam jaśnie pana — usprawiedliwiał się Hubert — my nie byliśmy w domu, byliśmy na tańcach.

— Aha! — zawołał Egon głośno — widzę, że tu operowano zręcznie. Nawet świadków niewygodnych się pozbywano!



Mussolini odwiedził w tych dniach obóz młodzieży faszystowskiej pod Rzymem witany owacyjnie przez przebywających w tymże obozie młodych falangistów hiszpańskich.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nastaje pan na mój honor? — spytał Herbert groźnie. — Czy te oskarżenia mają się mnie tyczyć?

— Uważam, że pan sądzi, iż ja się panu będę tłumaczył — zawołał Egon pogardliwie — to ciekawe! A meble pańskie i bydło jest zaasekurowane, co?

— Tak jest — odpowiedział Herbert spokojnie.

— Aha! więc pan nie ponosi żadnej straty. To także moment obciążający. No, pomówimy jeszcze ze sobą.

Rzekłszy to odwrócił się, wszedł do powozu i odjechał. Jak długo był na miejscu, milczeli wszyscy dookoła, skoro jednak odjechał, wybuchło całe oburzenie, które dotychczas nazywało się tylko przez miny.

Wszyscy zaczęli głośno objawiać swoje oburzenie na postępowanie Egona. Nie tylko bowiem, że wierzyli w niewinność Herberta i jego żony, znając ich uczciwość, ale wiedzieli jeszcze bardzo dobrze o tym, że Herbert i jego żona byliby się udusili w dymie i popalili, gdyby ich nie wyratowano. Pocieszali więc wszyscy leśniczego i jego żonę bardzo serdecznie.

Leśniczy był zrozpaczony.

— Nie dość, żem stracił córkę, nie dość żeśmy się popalili, jeszcze raz ta hańba na stare lata. Boże, mój Boże!

Pani Herbertowa więcej była zrezygnowana i pocieszała go.

Nadszedł teraz proboszcz.

Łagodnymi, cichymi słowami pocieszał pogorzelców i zaofiarował im mieszkanie u siebie, dopóki nie będą mieli innego.

Oni podziękowali mu bardzo uprzejmie, wprzód jednak chcieli zobaczyć, co się dzieje z Katarzyną. Szczególnie pani Herbertowa była niespokojna o starą sługę i poszła do sąsiedniej chaty, gdzie leżała Katarzyna.

Znalazła ją zimną, ze szklanymi, osłupiałymi oczyma — leżała nieżywa. Udusiła się bowiem w dymie, który powstał przy pożarze.

Pani Herbert rozpłakała się rzewnymi łzami. Straciła w niej bowiem nie sługę, ale przyjaciółkę, która od wielu lat była jej doradczynią. Pogłaskała ją po twardej, zapracowanej ręce i rzekła szeptem:

— Biedna, wierna Katarzyno, teraz w niebie znajdziesz nagrodę za swoje cnoty!

ROZDZIAŁ CLXXVI.

Cała moja nadzieja w pani

Ida kilka już tygodni przepędziła w sanatorium doktora Silasa.

Była tam przez Boże Narodzenie i pomagała dyrektorce ozdabiać olbrzymie Boże drzewko. Zdziwiła się też bardzo, gdy się przekonała, że między wszystkimi prezentami, był także prezent zaadresowany do niej.

Stała niezdecydowana przed tym pakietem i nie wiedziała co z tym fantem zrobić, gdy przystąpił do niej doktor Silas.

— Mam nadzieję — rzekł — że prezent, który sobie pozwoliłem zaofiarować pani, nie będzie się sprzeciwiał jej gustowi.

— Ach, nie wiem nawet, czym sobie zasłużyłam na tyle dobroci — rzekła Ida, dziękując mu wzrokiem.

— Jeżeli to panią rozweseliło — odpowiedział doktór uprzejmie — to cel mój jest w zupełności osiągnięty. Widzi pani, mówił dalej, wszyscy nasi pacjenci i pacjentki są tu zebrane. Jedna tylko pacjentka nie chciała brać udziału w powszechnej zabawie i uporczywie wzbraniała się wyjść ze swego pokoju. Wie pani co? Pani jesteś bardzo sympatyczną i ujmującą. Może by pani spróbowała skłonić ją do tego, żeby zeszła na dół?

— Zrobię to chętnie — rzekła Ida — ale obawiam się, że mi się to nie uda. Jeżeli ona panu odmówiła, to z pewnością i mnie także odmówi.

— Niech pani spróbuje — prosił Silas — to jest ta sama niewiasta, która absolutnie nie chce dać wziąć miary.

— Myślałam sobie, że to ona będzie — rzekła Ida — to panna Cohen.

— Tak jest, ale jeżeli sobie pani nie chce ją zrazić, to niech pani nie nazywa ją panną Cohen, bo ona się o to zaraz ogromnie irytuje.

— Dziękuję panu za informację; pójdę do niej i spróbuję.

Poszła i zapukała do drzwi nieszczęśliwej Sylwii.

Gdy otworzyła drzwi znalazła się naprzeciw młodej panienki o smutnych bardzo, niebieskich oczach.

— Pani sama? — zaczęła rozmowę.

— Czuję się najmniej nieszczęśliwą, gdy jestem sama — odpowiedziała Sylwia smutna — wtedy przynajmniej nikt



Nad pięknym Adriatykiem...

mi nie przeszkadza i mogę spokojnie myśleć o rodzicach i o tym, co straciłam.

— Ja także jestem sierotą — rzekła Ida — jesteśmy więc towarzyszkami niedoli.

— Moi rodzice żyją — odpowiedziała Sylwia — tylko dla mnie umarli. O Boże! — zawołała, łamiąc ręce — czyż nigdy do nich nie wrócę? Czy nikt się nie zlituje nad moją niedolą i nie ułatwi mi powrotu do ich domu z tego więzienia?

— Proszę pani — rzekła Ida wzruszona jej boleścią — dyrektor Silas jest dobrym i szlachetnym człowiekiem. Skoro tylko nabierze przekonania, że panią tu trzymają bezprawnie, wypuści panią.

— Ależ on nigdy nie nabierze tego przekonania — zawołała Sylwia w rozpaczy. — Czuję, że im dłużej tutaj jestem, tym gorzej jest ze mną. Jeszcze gotowam naprawdę stracić rozum. Niech mi pani wierzy, że cierpiałam strasznie. I dziwnym jest, że jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Ida patrzyła na nią z prawdziwym współczuciem.

Widząc to Sylwia, ośmielona klękła przed nią i objąwszy jej kolana, błagała:

— Cała moja nadzieja w pani! Zlituj się nade mną i ratuj mnie!

— Chętnie bym to pani zrobiła! — rzekła Ida ze smutkiem — ale pani sama wie, że wobec czujności straży tutejszej o ucieczce nie może być mowy.

— Nie o to mi chodzi — odparła Sylwia — tylko o to, żeby pani zawiadomiła moich rodziców, że jestem tutaj.

— Niech mi pani poda adres, a dziś jeszcze do nich napiszę — odpowiedziała Ida.

— To nie pomoże — odparła Sylwia — bo list nie dojdzie. Pisałam sama 12 razy i listy wrzucałam do skrzynki, która się znajduje tu na korytarzu. Jestem najmocniej przekonana, że pani Willemer podchwytuje moje listy.

— Więc co mogę zrobić dla pani? — spytała piękna Ida.

— Niech pani pojedzie do moich rodziców sama. Mój ojciec jest leśniczym w Königswalden obok Petershagen. Nazywa się Herbert. Jest 10 godzin drogi stąd.

Ida nabrała przekonania, że Sylwia rzeczywiście jest przy zdrowych zmysłach i przyrzekła uroczyście, że prośbę jej spełni, a że wprzód musi mieć pieniądze na podróż, na którą to kwotę zmuszoną jest pracować ze 3 tygodnie.

Sylwia dziękowała ze łzami w oczach. Potem Ida powiedziała jej, z czym właściwie do niej posłał ją dyrektor i namówiła ją, żeby zeszła. Przekonała ją zaś tymi słowy:

— Jeżeli dyrektor zobaczy, że mi się udało panią namówić, to będę później miała do pani tym łatwiejszy dostęp.

Zeszły więc na dół.

Dyrektor zakładu powitał nieszczęśliwą Sylwię bardzo uprzejmie.

— Mówiła mi pani — rzekł dyrektor łagodnie — że Dickens jest jej ulubionym pisarzem; oto czeka na panią.

Sylwia rzeczywiście zobaczyła ze zdziwieniem, że pod drzewem leży dla niej kilka książek elegancko oprawionych.

— Co pani też pięknego dostała od swego dziadka? — zapytała ją w tej chwili jedna z pacjentek szpitalnych.

— Nie mam dziadka — odrzekła Sylwia i czoło jej zachmurzyło się.

Dyrektor pokiwał głową.

— Ona jeszcze wciąż trwa przy tych swoich mrzonkach — pomyślała, a chcąc ją rozerwać, podał jej ramię i poprowadził do pianina.

Sylwia siadła i zagrała prastarą kolędę, śpiewając przy tym czystym pełnym i dźwięcznym głosem:

„Bóg się rodzi, moc truchleje!"

Obłąkani słuchali w głębokiej ciszy wzruszającej melodii.

Pani Jazowska miała łzy w oczach, panna Kurzer milcząc, podała Sylwii rękę a w biednej obłąkanej głowie pani Hirsemann tony te wywołały wspomnienia dawnych czasów.

Rzekła powoli:

— Dzieci moje śpiewały to zawsze. Tak, tak, ja miałam dzieci, piękne, kwitnące dzieci. Gdy wyzdrowieję, będę mogła wrócić do nich.

— Niech mnie pan uzdrowi, panie doktorze — prosiła doktora — ja tak bardzo tęsknię za moimi dziećmi.

Były to pierwsze słowa rozsądne, które biedna kobieta przemówiła od kilku lat i dyrektor Silas bardzo się ucieszył.

— Dobrze, łaskawa pani — rzekł pocieszająco. — Stan pani w ostatnim czasie bardzo się polepszył. Mam nadzieję że pani niezadługo wróci do swoich ukochanych.

— Dałby to Bóg — rzekła pani Hirzemann z westchnieniem — ale nie wie pan — spytała trwożnie — czy mój mąż się nie rozwiódł ze mną? On tak postanowił zrobić, a zwykł był wykonywać zawsze swe postanowienia.

— Czy panią by to bardzo zmartwiło? — zapytał Silas ze współczuciem.

— Nie — odpowiedziała nieszczęśliwa stanowczo — są rzeczy, których żona mężowi nigdy nie może przebaczyć. Mój mąż gorzko mnie dotknął, zbyt brutalnie podeptał moją miłość, żebym go mogła jeszcze kochać. Gdybym mogła mieszkać spokojnie z dziećmi, ideał mych marzeń byłby osiągnięty. Niech mi pan powie otwarcie, że rozwód już dokonany i że on się ożenił z tym stworzeniem, dla którego złamał moje kochające serce.

— Niestety, przewidywania pani są słuszne — rzekł Silas ze współczuciem.

Pani Hirsemann nie zirytowała się tym bardzo, lecz spytała z naprężeniem:

— A dzieci moje, gdzie się znajdują?

— Nie u męża pani — uspokajał ją Silas — lecz u pani siostry.

— Dzięki Bogu — szepnęła nieszczęśliwa niewiasta.

Nastąpiła pauza.

— Długi czas gęsta mgła leżała nad moimi myślami i uczuciami, dopiero słodka melodia kolendy rozprószyła ją, a wróciła mi pamięć przeszłości.

— Niebawem będzie pani zupełnie zdrowa — zapewnił doktór.

— Jeżeli tak, to winnam to temu cudownemu głosowi — rzekła pani Hirzemann — i pragnęłabym się odwdzięczyć pięknej śpiewaczce.

Niech pan ją zapyta panie doktorze, czy ma jakie życzenie, które bym jej mogła spełnić. Pan wie, że jest zamożna.

Dyrektor poszedł wybadać Sylwię.

— Tak jest — odpowiedziała Sylwia — mam jedno życzenie. Nie jestem przyzwyczajona do próżniactwa i chciałabym bardzo, żeby mi wolno było pomagać pannie Idzie w robocie.

— Żądanie pani jest słuszne — odparł uprzejmie dyrektor — i możemy je spełnić. Panna Ida może zawsze przebywać w pokoju pani, a pani może zawsze szukać jej towarzystwa.

— Dziękuję, panie dyrektorze — rzekła Sylwia, rumieniąc się lekko z radości.

Wiadomość, że będzie mogła obcować z Idą, dodawała jej otuchy i nadziei.

Chciała pilnie pracować, aby Ida prędzej mogła skończyć robotę i tym prędzej opuścić zakład.

— Panie dyrektorze — rzekła cicho do Silasa — o ile wiem, to panna Ida jest niezamożna i pracuje dla zarobku. Jeżeli teraz będę jej pomagać, skrócę czas jej pracy i mogę przyczynić się do zmniejszenia jej wynagrodzenia. To byłoby dla mnie bardzo przykre.

— To co pani swojemi drobnymi rączkami zrobi, porachuje się i zapłaci pannie Idzie — przyrzekł Silas — a dobroć pani przynosi pani zaszczyt.

Wszedł służący i zameldował, że kolacja na stole.

Przerwa ta była Sylwii bardzo na rękę, gdyż czuła, że na tę pochwałę nie zasłużyła i była zakłopotana.

Gdy wszyscy udali się do stołu, chciała się Ida cofnąć skromnie do swego

pokoju, ale dyrektor uprzejmie zatrzymał ją przy stole.

— Musi pani dziś nam towarzyszyć — rzekł do niej uprzejmie.

Ida w skromnej swojej sukience wyglądała przecie o wiele ładniej niż wystrojona strasznie pani Willemer.

Życzliwość jaką ta dama miała dla niej, zmieniła się natychmiast w nienawiść, gdy pani Willemer zauważyła, że dyrektor kilka razy uprzejmie zagadnął Idę.

— Ciasno tu jakoś — rzekła do Idy — gdybym była wiedziała, że pani będzie tu z nami, byłabym kazała jeszcze jedną płytę wsunąć do stołu. Zresztą byłoby pani nawet przyjemniej razem ze służbą, z dozorcami i dozorczyniami. Człowiek się czuje swobodniejszy między swoimi.

Ida nie odpowiedziała na tę złośliwość, ale radość z powodu dobroci dyrektora zamącona została tym bardzo.

Wróciwszy do swego pokoju otworzyła pudełko, które dostała na gwiazdkę. Było tam trochę materiału na suknię, na negliże, serduszko z marcypanu i mała złota broszka. Nigdy jeszcze nie była tak hojnie obdarzona na gwiazdkę.

Pani Hai dawała jej zawsze jakąś starą znoszoną suknię a pan Hai dodawał nauki, żeby sobie z niego brała przykład cnoty.

Święta Bożego Narodzenia przeminęły wesoło bez większych dysonansów.

Następnego dnia Sylwia od rana była już u Idy, z którą razem pilnie szyła. Przy robocie opowiadały sobie dzieje swego życia i snuły plany na przyszłość.

Ida z opowiadań Sylwii polubiła Herbertów i przyznała się do tego otwarcie.

Co dzień dawały sobie one świeże dowody miłości i między obiema panienkami zacieśniał się coraz silniej węzeł prawdziwej przyjaźni.

ROZDZIAŁ CLXXVII.

Miłość dwu kobiet

W wiejskiej gospodzie odbijają dziwnie od grubych wiejskich sprzętów, niektóre przedmioty zbytkowne.

Podłogę pokrywa gruby dywan, który tłumi odgłos kroków.

W małych oknach niebieskie firaneczki, przyćmiewające światło dzienne.

W drewnianym, niezgrabnym łóżku, na którym jednak leżą eleganckie i wygodne materace, spoczywa chory.

Wychudłe jego ręce leżą spokojnie. Dotychczas bowiem, przez cały czas choroby poruszał nimi gorączkowo.

Spokojnie i cicho leży także głowa jego na poduszkach. Po długich majaczeniach gorączkowych, po raz pierwszy znalazła spokój.

Obok łóżka siedzi młoda, blada niewiasta i patrzy na chorego z wzruszającą troskliwością. Niezliczone bezsenne noce i gryząca troska wyryły piętno na jej obliczu.

Ach, ile strasznych godzin i dni, przeżyła Hortensja przy łożu odnalezionego męża. W jak strasznej była obawie o jego życie.

Gdy wzruszona odnalezieniem jego upadła mu na szyję, ślepiec wydał okrzyk trwogi i padł bez przytomności na ziemię.

Przestraszona, zaniosła go z pomocą ludzi do gospody, lecz on obudził się tylko po to, ażeby majaczyć w trapiącej go gorączce. Dostał recydywę tyfusu mózgowego.

Hortensja pielęgnowała go niezmordowanie dzień i noc.



Piękny obrazek z egzotycznego Trypolisu.

Siedziała przy jego łóżku, a on przez cały czas majaczył o niej.

To skarżył się wobec niej, to znowu prosił ją o przebaczenie, to znowu tęsknił za nią, nie wiedząc o tym, że ta ukochana niewiasta jest przy nim, nie czując jej pocałunków, nie słysząc słów miłości, które mu szeptała do ucha.

Wreszcie przyszedł czas, że chory przestał majaczyć i zapadł w głęboki, pokrzepiający sen.

— Uratowany — rzekł doktor, widząc to.

Rzeczywiście po kilku godzinach snu, Leon poruszył się i zaczął się wyciągać, jak człowiek zupełnie zdrowy, wyciągający się ze snu, potem otworzył szeroko oczy.

— Gdzie jestem? — zapytał zdziwiony.

Hortensja z bolesną radością uklękła przy jego łóżku i głowę jego przycisnęła do piersi.

— Przy twojej żonie, Hortensji — odpowiedziała, całując go.

— Dlaczego tu tak ciemno? — zapytał znów Leon zdziwiony.

Hortensja znów z trudem powstrzymała westchnienie i odparła:

— Bo teraz jest noc, mój najdroższy.

— A więc wszystko było tylko snem straszliwym: — rzekł Leon, przyciskając ją do siebie.

— Tak jest, to wszystko było snem straszliwym — potwierdziła Hortensja — jesteśmy razem i nic nas już nie rozdzieli

Nagle, jakby jakieś przypomnienie zaświeciło w głowie Leona.

Usunął się od Hortensji, zakrył twarz rękoma i wybuchnął strasznym płaczem.

Na próżno żona go chciała uspokoić. Na próżno szeptała mu tysiące zapewnień, gdyż jego biedne ślepe oczy wciąż zalewały się łzami.

— Nie całuj mnie, Hortensjo — zawołał dziko — nie plam czystych ust twoich, dotykając się mnie. Jestem nikczemnym nędznikiem i zasługuję tylko na pogardę twoją, bo postąpiłem sobie jak największy łotr wobec ciebie.

— Cicho, cicho — zaklinała go Hortensja — nie mów, tak, bo jesteś mi najmilszą osobą na ziemi. Zawiniłeś, ale już odpokutowałeś. Teraz zapomnij o przeszłości, bo jesteśmy razem i nic już nas nie zdoła rozłączyć.

— Szlachetna, moja droga żono — jęczał chory w strasznej rozpaczy. — Jeszcze tak nisko nie upadłem, żebym przyjął tę ofiarę. Ty nie powinnaś wiązać młodego, obiecującego życia z losem ślepego żebraka. Nie mogę ci nic dać, tylko gorzkie ubóstwo, nędzę i hańbę. Zaklinam cię więc, pozostaw mnie memu dobrze zasłużonemu losowi, w którym marnie zginę, Ty jesteś młoda i piękna, świat ci stoi otworem. Pozostaw mnie z moim smutkiem i niedolą ciemną. Ty możesz chodzić w słońcu i szczęściu.

— Ty jesteś moim szczęściem — zawołała Hortensja głosem, w którym odbijała się cała jej miłość i tuliła się do niego. — Nie odpychaj mnie od siebie, zdala od ciebie, życie dla mnie nie ma powabu. Ty jesteś moim życiem i moim światem. Nie zapomnij, że jestem twoją żoną. Bóg nas złączył i nikt nie ma mocy nas rozłączyć. Moje serce, moja dusza, całe moje życie należy do ciebie, najukochańszy. O, Leonie, pozwól, żebym była twoją i przy tobie.

Po raz pierwszy otworzyła mu głąb duszy i Leon umilkł, wzruszony olbrzymią miłością.

— I ciebie, ciebie mogłem porzucić — zawołał z bólem — opuścić taki klejnot. O, Hortensjo, jeżeli nawet w nadludzkiej szlachetności przebaczasz mi, to jednak ja sam nie mogę sobie przebaczyć. Nie, nie, ty nie śmiesz dzielić mojej doli. Ty nie wiesz jakie życie ja prowadzę. Chodzę od drzwi do drzwi i żebrzę. Jadam to, co najbiedniejsi z biednych; sypiam w stodołach lub w chałupach na gołej ziemi, dziękując Bogu jeszcze za to, że nie pod gołym niebem. Czyż mogę cię brać na takie życie?

— Nie trać odwagi, najdroższy — odpowiedziała Hortensja — nędza twoja się skończyła. Bóg był łaskaw na mnie, nie jestem już biedna, lecz żyję

w dostatku. Jak to się stało, opowiem ci, gdy będziesz zdrowszy.

Rozmowa tak podnieciła Leona, że znowu zaczął majaczyć w gorączce. Dopiero po kilku dniach zrobiło mu się znowu lepiej. Hortensja opowiedziała mu wszystko.

Dotychczas jednak majątek mój nie miał dla mnie najmniejszej wartości — skończyła — teraz dopiero ma znaczenie w moich oczach. Doktór powiedział, że zręczna operacja może ci zwrócić wzrok. Pojedziemy do Berlina, gdzie są najbardziej rutynowani okuliści. Odzyskasz wzrok i nic już nie będzie nam stało na drodze do szczęścia.

Leon nie odpowiedział, ale łzy, które płynęły mu z oczu, były odpowiedzią wymowną. Hortensja czuła, że cała jej miłość nie może zapobiec skrusze i żalowi, które miał w sercu.

Lecz była szczęśliwa na razie z tego, że mogła być przy nim i dawać mu dowody miłości.

Leon o tyle już wyzdrowiał, że w południe mógł wychodzić na powietrze, a lekarz obiecywał, że nie długo będą mogli pojechać do Berlina.

Pewnego razu przechadzali się w ogródku. Hortensja prowadziła go ostrożnie i chciała go rozweselić swobodną rozmową, gdy rozmawiając wyszła z nim z ogródka na gościniec.

Tam zobaczyła z daleka jakąś dziewczynę o włoskim typie, która z węzełkiem na ramieniu zbliżała się ku nim.

Hortensja nie zwracała na nią uwagi, gdyż zdawało się, że Leon jest zmęczony i objęła go ramionami.

Leon, który rzeczywiście czuł się zmęczony trochę dalszą przechadzką przycisnął ją do siebie.

Na to wszystko patrzała Włoszka.

Z początku twarz jej miała wyraz radości, gdy jednak zobaczyła czułą scenę małżeńską, wystąpił jej na lica rumieniec straszliwego gniewu i okrzyk dzikiej wściekłości wyrwał się z jej ust. Wyciągnęła z zanadrza sztylet i wołając: „Żmijo, tyś mi go zabrała" rzuciła się na Hortensję.

Leon instynktem miłości odczuł niebezpieczeństwo grożące żonie i zasłonił ją sobą.

Uderzenie, które było skierowane ku Hortensji, trafiło jego. Przez rozdarte ubranie, krew zaczęła płynąć na ziemię.

Widząc to młoda Włoszka, upadła przed nim na ziemię.

— Zabij mnie — wołała — zabij, zabij, zabij! Drogie twoje życie zniszczyłam. — Zabij mnie, chcę umierać z tobą!

— Vittorino — rzekł Leon łagodnie, poznając ją po głosie, nic mi się nie stało, bo zraniłaś mnie tylko w ramię. ale powiedz mi, jaki diabeł cię opętał, żeś chciała zamordować moją niewinną żonę?

— Żonę twoją! — zawołała dziko Vittorina — więc dla niej pogardziłeś moją miłością i podeptałeś serce moje? Więc ja niczym nie mogę być dla ciebie, tylko dziewką, która ci się rzuca na szyję, a ty nie chcesz słyszeć o niej, tylko nią pogardzasz?

W dzikim bólu rzuciła się na ziemię i wybuchła straszliwym płaczem.

Hortensja przekonała się tymczasem, że mąż jej nie jest rzeczywiście niebezpiecznie raniony i pochyliła się nad nią z litością.

Po słowach Vittoriny bowiem wszelki gniew jej ustąpił miejsca współczuciu.

— Vittorino — rzekła łagodnie, również po włosku — nie oddawaj się smutkowi. Twoja rozpacz przykra jest Leonowi. Popatrz się na niego, czyż możesz być tak okrutną, aby biednemu ślepemu sprawiać tak wielki ból?

Ostatnie słowa wyrzekła tak cicho, pochylona nad Vittoriną, że Leon nie mógł ich słyszeć.

Vittorina zerwała się i spojrzała uważnie w twarz Leona.

Rzeczywiście, te czarne oczy bez blasku były przecież zamarłe.

Włoszka załamała ręce.

— Matko Najświętsza! — zawołała — i to jeszcze!...

— Cicho bądź, prosiła Hortensja szeptem. — Popatrz, jaki on zmartwiony i proszę cię, nie mów nic. Chodź ze mną, nie odejdziesz tak ode mnie.

Wzięła ją za rękę i chciała poprowadzić ze sobą.

— Co ty robisz? — zapytała Vittorina, brutalnie wydzierając się jej. — Ja chciałam cię zamordować, a ty mnie chcesz zaprowadzić do siebie? Czy masz zamiar może zwabić mnie w pułapkę i zemścić się na mnie?

— Nie znam zemsty — odpowiedziała Hortensja — pragnę cię tylko pocieszyć. Kochasz tego, którego ja kocham, i to nas łączy. Dlatego nie chcę ciebie zostawić z twoim bólem i proszę cię, chodź ze mną.

Vittorina z niedowierzaniem patrzyła na Hortensję, ale w oczach tej młodej kobiety było tyle czystości i dobroci, że gniew Włoszki tajał, przemieniając się w dziwne uczucie.

— Czyżby aniołowie zstąpili z nieba na ziemię i wędrowali pomiędzy nami grzeszącymi ludźmi — pomyślała.

Hortensja wzięła ją za rękę i, milcząc, wszyscy troje wrócili do gospody.

— Rozgość się — rzekła Hortensja nader uprzejmie do Vittoriny — musisz być zmęczona, zaraz wrócę do ciebie.

Poszła szybko do pokoju Leona, zaopatrzyła mu ranę i zapytała jak mu jest, lecz on był bardziej smutny niż zmęczony i wzruszony wielkodusznością swej żony.

Opowiedział pokrótce jak mu się Vittorina przysłużyła, przy ucieczce z Mediolanu.

Hortensję wzruszyło to bardzo.

Wróciła do Vittoriny, która bez ruchu siedziała na krześle, jakby odrętwiała ze zmartwienia.

Zdjęła jej z głowy czerwoną chustkę i pogłaskała po głowie.

— Jesteś bardzo zmęczona — rzekła — zjedz coś, to cię orzeźwi.

Nalała jej kieliszek mocnego wina, zbliżyła je do ust Włoszki i namawiała ją łagodnie, żeby piła. Przyniosła jej także owoce.

Włoszka zdziwiona pozwalała wszystko robić ze sobą.

Potem upadła Hortensji do nóg.

— A ja chciałam ciebie zabić — zawołała z serdecznym żalem.

— Bogu niech będzie chwała żem zamiary twoje pokrzyżowała.

— Szkoda, że się sama nie zabiłam; byłoby mi tak najlżej.

— Nie rozpaczaj — uspakajała ją łagodnie Hortensja — jesteś młoda i możesz być jeszcze szczęśliwa. Spotkasz kogoś, którego poznasz i pokochasz, a o Leonie zapomnisz. Ja byłam jego żoną na długo naprzód, nim ciebie poznałam, a straciłam go dawno i teraz go dopiero odzyskałam, kiedy już miliony łez za nim wylałam. Nie zazdrość mi mego szczęścia, które wyrosło na grobie moich pierwszych nadziei.

— Vittorina płakała i całowała Hortensję po rękach.

— Opuściłaś ojczyznę dla Leona — mówiła dalej Hortensja — chodź ze mną do nowej ojczyzny, w której ja będę ci siostrą, będę się troszczyć o ciebie i o szczęście twoje, o ile to tylko będzie w mojej mocy.

Włoszka nic nie odpowiadała, tylko całując ją po rękach, szeptała:

— Aniele, aniele!

Hortensja nie mogła ją uspokoić. Zaprowadziła ją do pokoju, który kazała przygotować dla niej i namawiała ją, żeby się położyła i spoczęła.

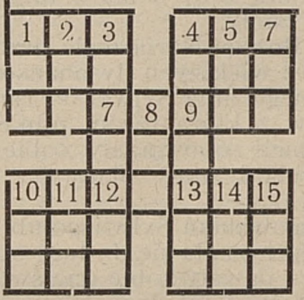
Potem wróciła do męża, ale przed spaniem raz jeszcze zajrzała do Vittoriny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Kwadraciki magiczne

pod „Eros".



Znaleźć 15 trzyliterowych wyrazów o niżej podanych znaczeniach:

1) Wykonawca sprawiedliwości, 2) rodzaj poezji wspak, 3) twierdzenie, 4) prezent, 5) papuga, 6) przestrzeń wspak, 7) przylądek po niem. 8) gat. wierzby, 9) oznaka żałoby wspak, 10) jednostka miary, 11) tytuł turecki, 12) skrót formacji wojsk, 13) kwiat wspak, 14) góra pod Troją, 15) przytrzymuje szyby wspak.

Szarada

Choćby Cię 4. 3. kusili
Nie zdradzaj dążeń obecnej chwili.
Jak ognia strzeż się 3. 2. także
Bo z torbami łatwo pójść możesz wszakże,
Zato lata używaj, rób długie spacery
To 1. 2. 3. nie zaszkodzi, nie psuje też cery
Całość zaś jest to utwór znany
U nas i nawet u obcych chętnie czytany.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 1 września 1937 r.

Rozwiązanie zadań z numeru 33 „Moich Powieści":

1) Konikówka: Tłum nie może się obejść bez ludzi wielkich i dzielnych, a jednak oni zawsze mu ciężą.

2) Domyślanka: „I błąd się na coś przyda — przynajmniej na przestrogę dla drugich (Fredry).

Trafne rozwiązania nadesłali p. p. Terzyk Stanisław — Żnin, Weissmanówna Aniela — Knurów, Zamiarówna Czesława — Koronowo, Siemianowski Bogdan — Mogilno, Pietrzakówna Maryla — Leszno, Odrozek Ewald — Radlin.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Pietrzakównej — Leszno i Terzykowi — Żnin (proszony jest o zgłoszenie się do redakcji).

FLAVIA STENO. 6)

Nauczycielka

A przede wszystkim zasmuca mnie dusza jego, chora od smutków, rozpaczy i daremnych pragnień...

Boję się zawsze, aby boleść nie zrobiła z niego sceptyka. Ach, Boże, nie dopuść, by takie nieszczęście uderzyło w mego ukochanego synka!...

A jednak, pomimo mojej skrupulatnej baczności, pomimo ogromnego uczucia, jakim go otaczam, nie zdołałam jeszcze wydrzeć mu z duszy tej chorobliwości wrażeń i tej przerażającej ironii, której truciznę, gdy przyjechałam, wchłaniał z książek, Teraz niestety, każda odtrutka, którą mu podaję, jest bezskuteczna! Dzisiaj jeszcze ofiarowałam mu doskonałą książkę, bardzo cenną przez wzniosłość myśli, jakie zawiera: Listy P. Faber'a. Ojciec jego, idąc za moją radą, sprowadził z Włoch dzieła Eskurialu, które mogą go rozerwać, nie zaszczepiając goryczy.

Niech Bóg błogosławi naszej pracy i pozwoli uczynić świętego z tego biednego, nieszczęśliwego męczennika!...

Daisy staje się prawdziwą kobietką, a taki to drogi i dobry mój skarb! Nie chciałam powierzyć wychowania tych biednych aniołków obcym, a mój Herbert jest szczęśliwy zawsze, cokolwiek zrobię.

Baby, która ma teraz prawie dwa lata, jest naszą pociechą i rozrywką naszą!... Jest jeszcze oczywiście pod opieką Margi, bardzo przywiązanej i dobrej, ale rano każę ją sobie przynosić do naszego pokoju i zatrzymujemy ją chwilę przy sobie, z radością patrząc na toczącą się po dywanie białoróżowo-złotą laleczkę, która wygląda jak amorek... Zaczyna jąkać kilka zdań po włosku i rozumie doskonale po angielsku.

Czasem żartem mówię jej:

— Baby jest bardzo niedobra; Baby nie kocha swojej mamusi.

— Baby dobla! krzyczy ona, wpatrując się we mnie z przerażeniem swymi słodkimi oczkami i podnosząc do mnie malutkie, nagie rączki. Nie umiem oprzeć się niewinnemu wdziękowi tego aniołka i porywam ją na ręce i zaczynam bawić się z nią. Biegamy po pokoju, każę jej śpiewać i tańczyć, jak małej marionetce, potem zasypuję ją gradem pocałunków, które ona przyjmuje ogromnie uszczęśliwiona i śmiejąc się tak głośno spazmatycznym śmiechem, że aż przechyla jasną głowinę, przekręca się cała i zwija w kłębek, jak malutka, biała kulka.

Gdy Herbert zastaje nas tak, staje zachwycony nieruchomo na progu, a potem z wilgotnymi oczyma i drżącymi ustami podchodzi do mnie i całuje mnie w czoło; ale w jego wzruszeniu, oprócz ogromnej wdzięczności dla mnie za to, co czynię dla tych stworzeń i jak je kocham, czytam jeszcze cierpienie zawsze żywe, widzę krwawiącą ranę, która nie zabliźni się nigdy; wspomnienie i żal za tą uwielbianą zmarłą, co musiała porzucić taki skarb najsłodszej miłości!

Baby kocha bardzo swego ojca; pieści się z nim na różne sposoby, wśród tysiąca małych podstępów dziecinnych i jest ogromnie uszczęśliwiona, gdy od czasu do czasu bierzemy ją do stołu ze sobą, zamiast zostawiać w nursery z niańką.

Daisy jest prawdziwą mamusią dla siostrzyczki; oprócz szczerego uczucia, jakie ma dla niej, uważa ją za laleczkę, którą się ubiera i rozbiera, prowadzi na przechadzkę, powoli i poważnie, którą się poprawia i na którą się krzyczy, jeżeli potrzeba...

Jakież cudne uczucie w tych maleństwach!

Nie zmieniłam mojego rozkładu godzin; owszem, teraz nikt mi nawet nie przeszkadza; od dziesiątej do jedenastej rano robię lekcję z Daisy, potem aż do południa, podczas gdy Daisy gra swoje ciężkie i nudne ćwiczenia, objaśniam pewne rzeczy Lorenzo'wi. Ale on już umie tyle, co ja. Moje lekcje ograniczają się do lektury jakiegoś dobrego dzieła, które objaśniam i komentuję na swój sposób; cieszę się, gdy tylko spostrzegę, że wzruszyłam mojego nieszczęśliwego synka i wprowadziłam mu do duszy promień pocieszającej rezygnacji chrześcijańskiej.

Po obiedzie prawie zawsze wyruszamy na przechadzkę. Peter popycha fotel z naszym chorym; Daisy prowadzi za rączkę Baby, Marga czuwa nad nimi, a za nimi Herbert i ja, szczęśliwa, opierająca się na ramieniu ukochanego.

Podjęłam na nowo moje przejażdżki konne, wczesnym rankiem, gdy dzieci jeszcze śpią.

Mój mąż sam chciał tego i towarzyszy mi.

Od jak dawna już nie jeździłam konno! Będą teraz dwa lata! O moje piękne przejażdżki po wzgórzach florenckich, albo wzdłuż dróżki do Cascine, ulubione przez każdego człowieka samotnego przejażdżki, jakże jesteście dalekie!

Pomimo mego cichego szczęścia obecnego, nie mogę zapomnieć was nigdy! I tęsknota za przeszłością, słodycz odległych wspomnień wraca codziennie i wzrusza mnie nawet wśród teraźniejszych warunków mego życia.

Ach, ileż przemarzyłam w ciągu tych długich dawnych przejażdżek! Ileż różowych złudzeń snuło się dokoła mnie w jasnej ciszy letniego zachodu!... Daleko, poza wzgórzami, znikało słońce w morzu purpury i całe powietrze zdawało się płonąć od jaskrawych blasków, a z urodzajnych pól, z dobroczynnych winnic, z ról cieszących się na żniwa, szedł ostry zapach obietnicy przyszłego dobra!... Jak prędko zgasły te sny! Jak dalekie te piękne, szczęśliwe czasy! Dzisiaj, w dwudziestym roku życia jestem pogodna i spokojna spokojem tego realnego życia, które, jeżeli nie jest urzeczywistnieniem dawnych marzeń, jest jednak zawsze źródłem prawdziwych i najczystszych rozkoszy! Nie marzę już: serce nie ma może tego pełnego światła, do jakiego wzdychało, ale jest spokojne i zadowolone; ale spoczywa cicho, pewne uczucia, którego mu nie zbraknie nigdy!

Mam spokój: czyż to może nie jest wszystkim? O Panie, zachowaj mi go zawsze!... i spraw, bym go rozsiewała dokoła siebie!...

30 wrzesień.

O mój biedny dzienniczku, tak cię zaniedbałam!... Wracamy właśnie z Londynu, po miesięcznym pobycie w wielkiej stolicy. I z ogromną radością znowu zobaczyłam ukochany Lynn-Castle, gdzie chciałabym przepędzić całe życie, w spokoju tej cichej pogodnej egzystencji...

Ta podróż do Londynu kosztowała mnie wiele, lecz Herbert, którego ona kosztowała jeszcze więcej, niż mnie, uznał ją za nieodzowną. Jego podwójna żałoba jest już skończona; od dwóch lat nie pokazywał się wcale w stolicy, gdzie jednak ma dużo interesów, przyjaciół i krewnych. Uważał absolutnie za rzecz konieczną przedstawienie mnie swym krewnym i przyjaciołom.

Doprawdy, ja byłabym się obeszła bez tych prezentacyj, ludzie byli tak niesprawiedliwi dla mnie, że zraziłam się do nich na zawsze. Ale ukrywałam swą niechęć, by dodać odwagi Herbertowi, w którym powrót do Londynu, odświe-

żył boleśniejsze, niż kiedykolwiek, wspomnienia jego biednej Cecylii.

Wyjechaliśmy więc w sierpniu, zabierając ze sobą Daisy, Baby, Margę i Lorenza. Naturalnie i biednego Lorenza, który był tak szczęśliwy, że jechał z nami!

Nawet jednak wśród zadowolenia z podróży i z pobytu w stolicy angielskiej, jedna myśl go dręczyła:

— Ty, Giannino, rzadko będziesz tam zostawać z nami — Gdyż nie mógł się jeszcze przyzwyczaić nazywać mnie mamą!

— Dlaczego, Lorenzo? — spytałam.

— Dlatego, że będziesz tam musiała bywać w towarzystwie, a ja nie mogę iść z tobą i moje wieczory będą takie długie i smutne!...

Pocieszałam go, zapewniając, że Herbert i ja nie opuścimy go!

Ale Lorenzo miał rację. Jakże męczący był ten miesiąc!... Ciągła bieganina po salach i najbogatszych salonach, setki nowych znajomości, przechadzki, wizyty, przyjęcia, następujące po sobie bez przerwy, a których niemożliwością było uniknąć. Miałam tylko jedno pragnienie: wrócić coprędzej do naszej pustelni Lynne-Castle. A Herbert, któremu wyjawiłam to pragnienie, pytał mnie raz po raz z radosnym wzruszeniem:

— Kochasz mnie zatem troszeczkę, moja Jane?

Czy go kocham! Zapewne, nie mogę być z nim zupełnie i całkowicie poufała, jak są może inne dziewczęta wobec swych mężów, dla mnie mój Herbert jest zawsze trochę moim panem, ale kocham go bardzo, bardzo i Bóg widzi, że o niczym innym nie marzę, tylko o tym, by go uszczęśliwić!

On jest taki dumny ze mnie, biedny Herbert! Zawsze będę pamiętała ten pierwszy wieczór mojego wejścia do towarzystwa, szliśmy do domu lordostwa Campbell, jednej z najarystokratyczniejszych rodzin londyńskich. tego, co jest najelegantsze i najwytworniejsze w wielkiej stolicy. Herbert chciał, bym włożyła na siebie wspaniałe brylanty rodowe, które od bardzo dawna leżały bezczynne, a które spoczywały na tylu głowach i tylu piersiach osób, dziś nieistniejących...

Posłuchałam go, by mu zrobić przyjemność i musiałam również wdziać suknię wydekoltowaną, według mody wielkoświatowej.

Gdy byłam gotowa i zeszłam po męża do jego gabinetu, drgnął i popatrzył na mnie ze zdumieniem, jak gdyby ujrzał zjawę.

Stałam zmieszana i jakby upokorzona. On szepnął tylko:

— Jesteś zanadto piękna!...

Uśmiechnęłam się, słysząc ten żywiołowy, prawie dziecinny okrzyk i zapytałam go:

— Czy chcesz, żebym włożyła inną suknię?

— Nie, skarbie — zawołał, uśmiechając się, dlaczego miałbym tak chcieć?

Wyszliśmy więc; w wygodnym powozie, który nas wiózł przez niezliczone i pogmatwane street londyńskie, widziałam jego oczy, wpatrujące się we mnie z natężonym podziwym; czułam nieledwie ból!

Ale to słodkie zadowolenie, gdy weszliśmy do wielkiego salonu, oświetlonego i strojnego, jak królestwo wróżki!....

Gdy służący w progu westybulu zaanonsował nasze nazwisko, wszystkie rozmowy ucichły i wszystkie głowy odwróciły się w ciekawym oczekiwaniu.

Weszłam spokojna i pogodna pod rękę z mężem, starając się zachować spokój pod spojrzeniem setek oczu, wśród szeptu ogólnego podziwu, jaki spotykałam na swej drodze!

Jest to może próżność, ale wyznaję, że byłam w tej chwili szczęśliwa, że jestem dumą mego męża! Szczęśliwa, że wszyscy pochwalają jego wybór, dumna, że należę do niego, i że mogę powiedzieć wszystkim: „Oto jestem ja, widzicie? Bóg obdarzył mnie rzadką pięknością, przynajmniej wy wszyscy tak twierdzicie: oto szczęśliwa jestem, że tę piękność posiadam dla niego! jestem najpokorniejszą rzeczą tego wybranego człowieka, który jest najlepszym z ludzi, chciałabym być jeszcze piękniejszą, nieskończenie piękną, nieskończenie dobrą i inteligentną i dumną, by złożyć mu całkowity dar z tego, co mnie zostało dane!...“

Och, jakbym chciała krzyknąć to wszystkim!

Herbert tymczasem, był bardzo blady, a jego przymuszony uśmiech, o którym ja tylko wiedziałam, ile go kosztował, sprawiał mi wielką przykrość!...

Zanim mnie przyprowadził przed lady Campbell, chciałam go pocieszyć:

— Herbercie, — szepnęłam mu — tak cię kocham i chciałabym być daleko stąd, tylko z tobą, tylko dla ciebie...

Poczułam, jak swym ramieniem przycisnął moje pochylając się lekko:

— Dziękuję, kochanie — rzekł — ty jesteś moim skarbem!

Wymieniliśmy między sobą te zapewnienia miłosne i odtąd przez cały wieczór ja wiedziałam, że on myślał o mnie każdej chwili, a on wiedział, że ja ani na moment nie traciłam go z myśli.

Lady Campbell przyjęła mnie z wyszukaną wytwornością: dzięki niebiosom, moje urodzenie nazwisko mogą dorównać pierwszym nazwiskom Anglii; i o tym wiedzą tutaj wszyscy, dlatego wydaje się, że zapomnieli o małej nauczycielce aby pamiętać jedynie o lady St. John.

Na ogół, moje wejście w wielki świat, było bardzo zadowalające dla miłości własnej, bardzo pochlebiało mojej wrażliwej dumie, ale niestety przyniosło mi również smutną niespodziankę!.

Niedługo po naszym wyjściu, podczas gdy Herbert wraz z lordem Campbell i kilku innymi przyjaciółmi, oddalił się nieco, usłyszałam za sobą głos zbyt antypatyczny, aby miał mi być nieznany:

— Lady St. John zapomniała może o sir Jerzym Lionel, ale sir Jerzy Lionel zawsze pamięta i podziwia piękną i dumną miss Jane!

Zadrżałam z przestrachu: naprawdę z przestrachu! Nie wiem dlaczego, ale ukazanie się Lionela właśnie teraz, gdy po raz pierwszy ukazywałam się w naszym świecie, wydało mi się złą wróżbą.

Musiałam ukryć swoje wrażenie, gdyż sto oczu patrzyło na nas, ale gdy przypomniałam sobie list, jaki przed siedmiu miesiącami zostawił w Lynn-Castle dla miss Jane, uważałam za stosowne przypomnieć mu naszą wzajemną sytuację.

— Lady St. John — rzekłam poważnie — nie zapomniała napewno o kuzynie swego męża, ale ma nadzieję, że nie będzie potrzeba przypominać sir Jerzemu Lionel, iż dumna miss Jane istnieje zawsze i nie zmieniła się wcale.

Zrozumiał, gdyż zagryzł wargi pod zuchwałym, jasnym wąsikiem.

— Gdy dostałem zawiadomienie o ślubie pani byłem we Włoszech — rzekł, może dla usprawiedliwienia swej nieobecności.

Istotnie, pisał nam pan o tym, czy bawił bawił się pan tam?

Rozmawialiśmy trochę o Włoszech; on opowiadał bardzo dobrze i wyglądał na entuzjastę mojej drogiej ojczyzny. Wyznaję, że parokrotnie czułam się silnie wzruszoną wspomnieniami, które te opowiadania budziły we mnie. Sądząc

zapewne, że sprawia mi przyjemność, zatrzymał się dłużej, mówiąc o Florencji.

— Czy wróciłaby pani tam chętnie? — zapytał.

— Nie wiem, — rzekłam, zamyśliwszy się, — Może cierpiałabym bardzo; teraz przyzwyczaiłam się do tego dobrego kraju i prawie, że go kocham.

— Prawie? — powtórzył z naciskiem.

— Tak; mówię o Anglii w ogóle, na pewno jednak kocham Lynn-Castle, który przyniósł tyle spokoju mej duszy, i dał mi tyle prawdziwej rozkoszy.

Milczał.

— Czy jest pani szczęśliwa? — zapytał z poufałością, która mi się nie podobała.

— Tak — rzekłam bez wahania; — jestem tak szczęśliwą, jak tylko można nią być tu na ziemi. Kocham bardzo mego męża i moje przybrane dzieci!.

— Pani jest doskonałością — zauważył. — Ale to lepiej. To szczęście. że pani jest szczęśliwa!

Potem nagle, zmieniając ton, jak gdyby ta rozmowa sprawiała mu przykrość:

— Czy pani wie, że jest pani bosko piękna? — rzekł wpatrując się we mnie z zachwytem.

Czułam się nieswojo pod jego gorącymi spojrzeniami, którymi pożerał moje nagie plecy i ramiona.

— Mogę pani to śmiało powiedzieć, gdyż oczy wszystkich mówią to samo! Sir Herbert powinien być dumny z pani!

— Gdzie wchodzi w grę zadowolenie uczuciowe, tam nie ma miejsca na dumę!

— Tak pani sądzi? A ja przypuszczam, że podziw i uznanie wszystkich nie jest chyba nieprzyjemne.

— Mnie to jest obojętne — odrzekłam bardzo zimno.

— To nie przeszkadza, że wszyscy tutaj obwołają panią królową wieczoru i najpiękniejszą kobietą w Londynie.

Zarumieniłam się i umilkłam.

— Gdybym ja był pani mężem, — rzekł z pewną goryczą w głosie — byłbym bardzo zazdrosny o panią!

Popatrzyłam na niego zdumiona.

— Sir Herbert wie, że jego żona jest wyższą ponad wszelkie podejrzenia.

Skłonił się głęboko, z lekką ironią w swych jasnych, przezroczystych oczach:

— O tym wszyscy wiedzą! ale jest coś wyższego jeszcze ponad dumę, ponad wyniosłość, wyższego nawet może ponad cnotę, lady St. John. Tym czymś jest miłość!

— Wierzę w to i wiem o tym, sir Jerzy, gdyż kocham!

— Jest pani zatem szczęśliwą

— Czyż nie powiedziałam panu już tego?

— Ma pani naprawdę szczęście.

Sir Herbert wracał do nas. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, wydawał się bardzo niezadowolony, ujrzawszy sir Jerzego obok mnie. Przywitał się z nim raczej chłodno i przeprosił, gdyż musi mnie przedstawić niektórym paniom.

Lionel skłonił się z głębokim szacunkiem.

— Czy będę mógł złożyć uszanowanie milady? — zapytał.

Sir Herbert odpowiedział za mnie.

— Kiedy zechcesz, kuzynie. Jesteśmy zawsze na Oxfordstreet.

Och, jakąż ulgę uczułam po odejściu sir Jerzego!...

Mąż mój był ciągle zimny i milczący; spróbowałam rozruszać go:

— Jestem trochę zmęczona, Herbercie. Gdybyśmy już poszli?.

— Jak chcesz kochanie.

Wróciliśmy do naszego mieszkania, lecz piękny, pogodny nastrój z dni poprzednich nie powrócił ani do niego, ani do mnie. Nie wiem, ale coś wzruszyło nas oboje w nieprzyjemny sposób, coś, czego nie umiałam sobie wytłumaczyć, ale co nie dawało mi spokoju.

Po owym wieczorze, sir Jerzy przyszedł do nas parę razy; mój mąż nie zostawiał mnie nigdy samej podczas tych wizyt i byłam mu za to wdzięczna; można było pomyśleć, że zrozumiał mój gniew, jakim mnie one napełniały i chciał podzielić ze mną tę uciążliwą pańszczyznę.

Spotykaliśmy go również często w eleganckich salonach, do których nas zapraszano, kilka razy byłam zmuszona przyjąć jakiś taniec z nim, i rzecz dziwna, doznawałam wówczas tej samej przykrości, tego samego uczucia, jak owego strasznego dnia na Skating-Ring. Sir Jerzy jest bardzo dobrze przyjmowany w towarzystwie, a przede wszystkim uwielbiany i psuty przez panie.

Tak mi się nie podobają te elegantki londyńskie, takie po przeważnej części próżne! Nawiązałam tu dużo stosunków i znajomości, ale bardzo mało przyjaźni.

Jedynie lady Campbell, lady Blankart i mistress Whits zostały zaproszone do Lynn-Castle.

I chciałabym, aby nikt nie mącił naszego spokoju!...

...Taka jestem szczęśliwa tutaj! Mój mąż i moje dzieci! W tym małym moim świecie jest jedyne prawdziwe szczęście!..

18 październik.

Znów nadchodzi sezon polowań, który mi w roku przeszłym przyniósł tyle zmartwień. Dałby Bóg, by moje obowiązki pani domu, nie były zbyt uciążliwe!...

Mam dużo roboty z przygotowaniem mieszkania dla moich gości.

Herbert daje mi wskazówki i pomaga mi bardzo; również Daisy stała się prawdziwą kobietką i zaczyna wyręczać mnie trochę; przynajmniej czuwa nad Baby, gdy Marga zajęta jest czym innym.

Mój biedny spokój, który po raz drugi ma być zamącony!...

Sir Jerzy Lionel do Edwarda Barth.

Londyn, 20 październik.

Drogi! Wiesz o wielkiej nowinie? Miss Jane, moja flama, dokonała zamachu stanu. Widziałem ją wczoraj na balu u lorda Campbell. Nie możesz sobie wyobrazić triumfu tej wspaniałej, nowej lady, piękniejszej od bogini, majestatyczniejszej od królowej!... Edwardzie! ja mówiłem mówiłem z nią tylko godzinę i spostrzegłem, że kocham ją jeszcze!... Bezcelową była moja podróż: szafirowe oczy i niesłychana czułość twojej słodkiej kuzynki nie zdołały wydrzeć mi z serca tej boskiej istoty!

Ach, szczęśliwy ten stary St. John!

Czy sądzisz, że ona jest szczęśliwą? Zapytałem ją o to i odpowiedziała mi że tak. Czy to prawda? To darmo, ona mogła być wszystkim, czym chcesz, nawet zręczną komediantką, w całej tej sprawie, ja mimo to nie mogę przestać jej kochać. I chciałbym mieć tron i koronę, by je złożyć u jej stóp! Ona jest tego godną.

Żegnaj, pisz do twego szalonego

Jerzego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela dnia 29 sierpnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Zaniemyśla — reportaż, polowa msza św. 11.05 Koncert pod dyr. Toscaniniego — Transmisja z Salzburga 13.20 Polska Kapela Ludowa pod dyr. F. Dzierżanowskiego 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Zespół mandolinistów i chór „Kaskada" (z Wilna) 16.30 Styl klasyczny w muzyce nowoczesnej — płyty 17.00 Koncert rozrywkowy z Parku Paderewskiego 19.00 Słuchowisko „Pierwsza lepsza" według komedii Fredry 20.00 Koncert trzech solistów — płyty 21.00 „Bakcyl H" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Pieśni Schuberta w wyk. Luby Lewickiej 22.25 Tańce różnych narodów — koncert na dwa fortepiany.

Poniedziałek, dnia 30 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 „Rodzice a szkoła" — pogadanka 12.25 Koncert orkiestry dętej 12.40 „Od warsztatu do warsztatu" — Bednarze 16.00 „Pokój dziecinny w warszawskim Zoo" — pogadanka 16.15 Transmisja z ogniska harcerskiego na Międzynarodowym Zlocie Skautów w Holandii 17.00 Koncert solistów 18.15 Wiązanka melodii Fucika i Kozaka — płyty 19.00 „Wspomnienia z dawnych wesel" wykona Kapela Ludowa z Siołkowej 20.00 Melodie filmowe polskie i obce 20.20 „Zwariowany antykwariat" — skecz 22.00 Koncert Poznańskiego Chóru Katedralnego pod dyr. ks. dr. W. Gieburowskiego (transmisja do Anglii) 22.30 Jan Sebastian Bach — płyty.

Wtorek, dnia 31 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Popularna muzyka polska — koncert ork. KPW. 16.00 „Gdy wielcy ludzie byli mali": „Abraham Lincoln" 16.25 Duety i arie w wyk. Zofii Fabry i Wiktora Bregy 16.50 „Lida klucz do Wilna" — felieton 17.05 Koncert w wyk. Ork. Filharmonii Warszawskiej 18.15 „Gwiazdy filmowe śpiewają" — płyty 19.00 „Broszka" — skecz 19.15 Kwartet cis-moll op. 131 L. v. Beethovena 20.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej 22.00 Recital śpiewaczy Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej.

Środa, dnia 1 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 Przed żniwami w ogródku konkursowym — pogadanka 12.25 Koncert Orkiestry Furmańskiego i Dakowskiego 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 16.15 Koncert w wyk. Ork. Filharmonii Warszawskiej — transm. z Ciechocinka 17.00 Koncert solistów 18.15 Melodie taneczne na instrumentach solowych — płyty 19.00 Słynni dyrygenci — 20-ta audycja — A. Coates 20.00 „Biała Afryka" — reportaż z płyt 21.00 Koncert chopinowski w wyk. J. Smidowicza 22.00 Koncert rozrywkowy.

Czwartek, dnia 2 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Ork. Wojsk. 16.00 „Na siodełku motocykla" — pog. dla dzieci 16.15 Symfonie Beethovena — 8-ma aud. — płyty 16.40 Lekcja o dobrym współżyciu — felieton 16.55 Polska Kap. Ludowa F. Dzierżanowskiego 18.15 Parafrazy fortepianowe i jazzowe znanych utworów 19.00 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Świt, dzień i noc" 20.05 Polska muzyka rozrywkowa 22.00 Recital śpiewaczy Paolo Civil'a.

Piątek, dnia 3 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Salonowa pod dyr. T. Rydera — z Łodzi 16.15 Koncert solistów 16.45 Samolotem do Palestyny — reportaż 17.00 Kncert Ork. Filharmonii Warszawskiej — transmisja z Ciechocinka 18.20 Orkiestra Jacka Hyltona — płyty 19.00 Koncert kameralny 19.25 Piosenki włoskie w wyk. Józefa Wolińskiego 20.00 koncert rozrywkowy 22.00 Recital skrzypcowy w wyk. E. Umińskiej 22.30 Pieśni nastrojowe wykona Kwartet Solowy Wokalny.

Sobota, dnia 4 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.15 „Strzeżemy wieś od pożarów" — pog. 12.25 Koncert rozrywkowy 16.00 Audycja dla dzieci 16.30 „Bajeczki" w wyk. Krak. Kwart. Schrammla 17.00 Pieśni ludowe w wyk. chóru im. Moniuszki 17.15 Utwory Edwarda Griega 17.50 „Lwów" — bohaterskie miasto" — pogadanka 18.15 Małe zespoły instrumentalne — płyty 19.00 Recital fortepianowy Ani Polakoff 21.05 „Przygoda w Grinzingu" — operetka 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Ork. P. R.

HUMOR

LITERAT

— Pan podobno piórem zarabia na życie?

— Tak, co parę dni piszę do ojca po pieniądze.

DOBRE CZASY

— Kup pan u mnie ten kufer. Powiadam panu, że skóra jest pierwszorzędna!

— Ale do czego mnie kufer potrzebny?

— Spakuje pan do niego swoje ubrania!

— Moje ubrania? Pan sądzi, że ja będę podróżował goły?

KRYZYSOWE CZASY

— Dlaczego zawiesił pan swój szyld do góry nogami? Czy ktoś z góry będzie go czytał?

— A może spadnie jakiś gość z nieba!

NIE UDAŁO SIĘ

— Wicuś wraca późno ze szkoły. Matka go pyta, dlaczego?

— Jakiś pan zgubił na ulicy przed szkołą pięć złotych. Pomagałem mu szukać.

— I cóż? Udało się?

— Nie! On sam znalazł!

RZADKI OKAZ

W pewnym muzeum przewodnik, zatrzymawszy się przed jakąś starą zardzewiałą armatą objaśnia ciekawych.

— To jest armata z czasów Aleksandra Macedońskiego.

— Ale wtedy jeszcze armat nie było — przerywa mu ktoś.

— Tym bardziej okaz rzadszy.

INTELIGENCJA

— Ten zegarek idzie czterdzieści osiem godzin bez nakręcenia.

— Nadzwyczajnie! Ciekawym, ileby też czasu szedł, gdybym go nakręcił.

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Co to jest kobieta zgubiona?

— To taka, którą każdy łatwo może znaleźć.

—o—

— Co to jest recydywista?

— Wdowa, która wychodzi drugi raz zamąż.

PRZYJACIÓŁKI

— Jak ci się podoba moja fotografia, Emmo?

— Doskonała, oto właśnie tak powinnaś wyglądać.

SŁUSZNIE

— Powiedz mi chłopcze — pyta lekarz wyrostka — co trzeba zrobić, by pójść do nieba?

— Umrzeć! — panie doktorze.

— Słusznie. Ale przed śmiercią?

— Zachorować i wezwać pana.

ZBYTECZNE

— Czy życzy pani sobie, aby męża prześwietlono promieniami Rentgena?

— O nie trzeba. Znam go nawskroś.

HUMOR

— Czy jest pan jeszcze ciągle zaręczony z panną Zdybalską?

— Już nie.

— No to gratuluję panu. Ale w jaki właściwie sposób uwolnił się pan od tej straszliwej osoby?

— Widzi pan — ożeniłem się z nią...

NIE ZGADŁA

Nauczycielka: Jasiu, masz taką brudną buzię, że mogę ci powiedzieć, co jadłeś dzisiaj na śniadanie.

Jaś: A co jadłem, proszę pani?

Nauczycielka: Kompot.

Jaś: Właśnie, że pani nie zgadła. Kompot jadłem wczoraj po kolacji.

SZKOŁA

Powiedz mi Jasiu, co robią twoi rodzice wieczorem?

— Proszę pana profesora, czy to jest pytanie dla ucznia pierwszej klasy?

—o—

— Co rozumiesz przez te słowa: „Będziesz spożywał chleb twój w pocie czoła".

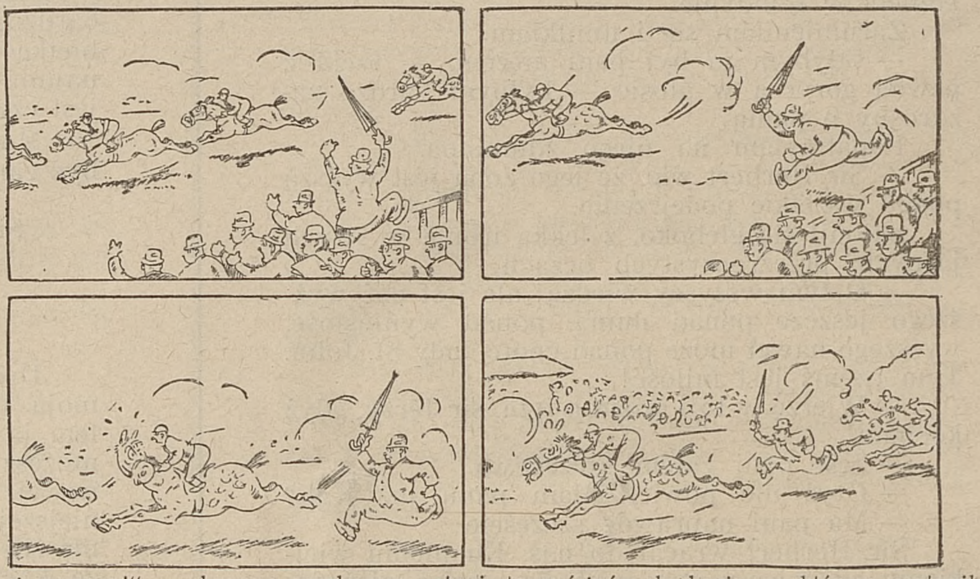
— Abym dopóty jadł, dopóki się nie spocę.

PASZTET Z JASKÓŁEK

— Czy ten pasztet jest naprawdę z samych jaskółek?

— Nie, mój drogi! Jest w nim też trochę koniny.

— Tak, pół na pół, jeden koń, jedna jaskółka.



„Ja ci pomogę!" — krzyczy zapalczywy entuzjasta wyścigów do konia, na którego postawił wysoką stawkę.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1